№ 21. Warszawa, dnia 8 (20) Maja 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KRONIKA ZAGRANICZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wystawa w Filadelfji.--Podróż do Ameryki. — Wystawy w ogóle.—Nowa zapowiedziana wystawa w Paryżu.—Berlin jako stolica świata. — Kupcy berlińscy. — Grzeczność pruska.—Pobyt w Berlinie jego niebezpieczeństwa i przyjemności. *Pech* pruski.—Co się dzieje z dziełami sztuki. — Tissot'a podróży tom drugi.—Kilka słów o nim.—Święcecenie niedzieli.—Dnie świąteczne.—Anglicy i Amerykanie w Niemczech.—Führich i obrazki religijnej treści.—Nowy romans Bolandera, Urdentich kilka słów o nim.—Bithimes i Biscula.—Nirwana p. Idy Hahn-Hahn.—Romans historyczny Gottschalla. — Powieści francuzkie Bibliotheque élégante.—Książę z domu Dawidowego. — Non misceantur sacra profanis. — Poezye Petrarki. — Język i literatura włoska.

(Dokończenie).

Kilka powieści — katolickich niemieckich, ukazało się w tych czasach. C. von Bolanden, wydał w dwóch tomach romans „Urdeutsch." Jest to pierwszy tom z trylogji mającej się ukazać wkrótce. Druga część ma mieć tytuł: „Altdeutsch" a ostatnia „Neudeutsch."

Romans „Urdeutsch" chociaż autor nie mówi o tem zdaje się być przeznaczonym do jakiegoś współzawodnictwa, dla nas niezrozumiałego, z powieściami o prastarych czasach Niemiec Freytag'a. Bolander, którego katoliccy czytelnicy w Niemczech wysoko cenią, talentem w żadnym razie nie może się mierzyć z Freytagiem. Romans wzmiankowany grzeszy nie tylko słabem osnuciem, ale wykonaniem, które chcąc być ściśle historycznem, bywa aż nieprzyzwoitem. Szczegóły niektóre są nie do powtórzenia. W ogóle jaskrawe obrazy i często nieprzyjemne, a styl nie okupuje ich wcale. Treść z czasów prastarych pogańskich, walki z chrześcijaństwem pierwotnej, jest następująca: Bithimer, książę chrześcijanin, zakochany jest w pogance Bissuli. Ta, zgadza się na połączenie z nim, ale za warunek kładnie, aby poślubił zemstę jej rodu nad Billingami. Bithimer, jako chrześcijanin wzdraga się, lecz miłość jego dla pięknej Bissuli coraz nad nim bierze górę... W walce tej między wiarą a miłością — bliskim jest upadku, gdy Św. Marcin w pomoc mu przychodzi. Środki jakich używa na poskromnienie namiętności — łatwo odgadnąć — modlitwa, post, nakoniec biczowanie, krnąbrne pokonywają ciało. Św. Marcin na ostatku obcina mu włosy. W nagrodę tego poddania się i poprawy, czyni wreszcie cud. Bissula się nawraca, i wychodzi... Nama za Pompilijusza. W stosunku do dawnych Bolandena powieści, ta jest o wiele słabszą, choć autor w niej widocznie pragnął być energicznym, a jest tylko szorstkim i jaskrawym. U nas — wiele rzeczy nawet by się przełożyć nie dało, tak rażą. Pogański obyczaj i czasy, nie potrzebowały tak ostrych rysów, aby się z całą swą wyrazistością dziką odmalowały.

Drugą powieścią o której tylko wspomnimy, jest znanej hrabiny Ydy Hahn-Hahn — „Nirwana" z pobożną myślą i duchem, z wdziękiem niewieścim opowiedziane losy trzech rodzin, dowodzące że życie bez Boga jest najnędzniejszym z żywotów. Niewieście charaktery szczególniej trafnie i szczęśliwie pochwycone i skreślone. Ale któż policzy nowe powieści niemieckie, oryginalne i tłomaczone! Zadanie to nad siły nasze. Jak podróży tak nowych romansów wychodzi niezmiernie wiele... niepodobna ich przeczytać. Wiele z nich, największa część wybitnie się odznaczają, celem glorufikacyi wszystkiego co niemieckie. Są to apologije bez końca, w kształtach najrozmaitszych. W tym rodzaju jest sławnego literata, pierwsza próba romansu „Im Banne des Schwarzen Adlers" Rudolfa Gottschall! całe trzy tomy... Akcya rozwija się na tle — podboju Szlązka i walki katolickiej Austryi z Fryderykiem II. Gottschal, chociaż mieszka w Lipsku, jest jakimś pruskim Hofrathem i czystej krwi niemcem swojego wieku. Marya Theresa i wszystko co z nią trzyma, najgorzej więc wychodzą... Nieobeszło się bez okropnego Jezuity. Romansowi nie zbywa na kolorycie, ani na kunsztownej budowie, ani na żwawej wyobraźni, a mimo to — nie nazwiemy go dziełem prawdziwego natchnienia, ani rzeczywiście artystycznym utworem. Gottschall jest człowiekiem wielce uczonym, rozważnym — umiejącym pisać i znającym warunki, ale refleksya i wprawa za wszystko starczyć nie mogą...

W wychodzącej w Brukselli, tak zwanej, „Bibliothèque élégante" jest kilka bardzo ładnych francuzkich powieści. Jako obraz z życia w Hollandyi, zalecają się Emila Greyson „Juffer Daadye et Juffer Doortje" i Faas Schonck. Historya dwóch panienek Daadje i Doortje z humorem i talentem napisana. W ogóle cały ten zbiór nowy, składa się z utworów nie tylko do tytułu jego zastosowanych, ale artystycznie pięknych; a bądź co bądź, język francuski jakoś się łacniej i swobodniej nagina pod piórem, niż sztywna zawsze niemczyzna. W Anglji i Niemczech zarówno, dość rozchwytywaną jest powieść oryginalnie napisana po angielsku, w formie listów, która — ni mniej ni więcej, zawiera, niby przez naocznego świadka... (izraelitkę,) opowiedziane życie Chrystusa Pana „Książę z domu Dawidowego." Autor z wielką erudycyą i z wielkiem poszanowaniem przystępuje do tych dziejów, ale zarazem z odwagą niepojętą, gdy je dosnuwać i dotwarzać przychodzi. Chcąc coś o książce powiedzieć, należałoby naprzód roztrząsnąć czy, nawet w najlepszym celu, (autor niezaprzeczenie myślą był natchnięty pobożną) godzi się przedmiot taki brać za treść artystycznego utworu, w którego wykonaniu wyobraźnia czynną być musi.

Nie chcemy się nad tem rozwodzić. W Niemczech

gdzie religijne wychowanie młodych osób (a dla tych szczególnie autor swą książkę przeznaczył) jest dosyć zaniedbane. „Książę z domu Dawidowego“ może być właściwym i na dobie, u nas raził by uczucie, którego ręką niepoświęconą dotykać się nie godzi.

We Włoszech ta sama treść służyła już do dramatów. W Oberammergan „Szkoła Krzyża“ pojmuje się i widzi z poszanowaniem; — gdzieindziej razi jak coś świętokradzkiego. *Non misceantur sacra profanis.*

Któż nie zna imienia Petrarki? więcej może imię to niż pisma są znane. Mnogie jego poemata łacińskie niedostępne są dla ogółu, najpopularniejszemi pozostały Sonety. Po tylu latach i wydaniach, trudno się było spodziewać odkrycia nowych i nieznanych. Tym czasem niejaki pan Domenico Carbone przerzucając stare rękopisma w Bolonji — trafił na Sonety, które mu się zdały być Petrarkowemi. Wydał więc je z wielce szumnym tytułem „Wieniec na grobie w Arqua“ (Una corona sulta tomba d'Arqua). Lecz, krytyka przystąpiła do tego wieńca, rozpatrzyła się w uwiędłych liściach jego, i nielitościwie zrzuciła go, jak śmiecie z grobu poety.

Carbone nie dowiódł bynajmniej że poezye te są Petrarki, a wartość ich także za tem nie przemawia; rozgłośne odkrycie smutnie się skończyło. U nas nauka języka włoskiego nie jest bardzo rozpowszechnioną, nad czem ubolewać należy, bo literatura włoska dawna i nowa godną jest bliższego poznania, śliczny język brzmi jak muzyka, i wyuczenie się go dla umiejących język francuski wcale trudnem nie jest. Włosi tłomaczą naszych poetów i pisarzy, życzliwie są dla nas usposobieni, a ich cywilizacya i literatura sięga w odległe wieki i łączy się z tą łacińską i grecką, która jest źródłem teraźniejszej oświaty — i której jak matce cześć i poszanowanie winniśmy.

DO...

O! pomódl się! by mi nie zbrakło tej siły,
Bóle uśmiechem kryć, gorączkę chłodnym żartem,
By się palące łzy na licu nie zjawiły,
By mocną była pierś, na sercu mem rozdartem,
By rozbujałą myśl, czoło przykryło harde,
A czucia rzewny jęk, słowo zbroiło w pogardę.

O! pomódl się! o tę stoików wytrwałość,
Lub chrześcijańską moc, znoszenia męczarń bez jęku,
Nie dla mnie ulga skarg, nie dla mnie tęskna żałość!
Ja muszę życie przejść bez łzy, wahania i lęku,
Na świat spoglądać wciąż, źrenicą zimną, suchą,
A upaść tylko raz, w grobową otchłań głuchą.

I wtedy pomódl się, bo wszak jest Ktoś co podejmie
Te modły zacnych serc? Wszak te drobiazgi życiowe
Muszą mieć całość swą, a po mogilnym rozejmie
Życie zaciąga znów, swą nieśmiertelną osnowę?
I choć tam to musi być, sprawiedliwości siła...
I co zagarnął świat, to zwróci nam mogiła.

Więc pomódl się... niechaj mi szczęście powróci,
Na świecie było już na zawsze pogrzebane...
Lecz tam, gdy dusza ma, ziemską powłokę zrzuci,
Nieśmiertelności zdrój niech zgoi żalów ranę,
Lub... raczej uproś ty, Boga modłami szczeremi,
Niech zniszczy w myśli mej, wspomnienie życia na ziemi?

Marya Szeliga.

NIEZROZUMIANY

OBRAZEK KARNAWAŁOWY

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

Przy wspólnym stole zasiedli tylko stateczniejsi goście, którzy dary boże chcieli konsumować bez żadnych innych wzruszeń. Inni, którym ta przyprawa potrzebną była, rozsiedli się przy osobnych stolikach w grupach starannie dobranych. Byli i tacy, którzy oddalonych od światła kątów szukali, aby tam swobodnie rozmawiać.

Do tych należał młody, angielskiej powierzchowności mężczyzna i pochylony staruszek o siwych włosach, którego powszechnie szambelanem nazywano.

Obaj zaopatrzyli talerze swoje w majonez z truflami i cofnęli się w najciemniejszy kąt pustego teraz salonu.

Młody mężczyzna miał wiele swobody w ruchach i dosyć inteligencyi w ciemnych wypukłych oczach. Pochylony staruszek z czerwoną wstążką w dziurce od fraka wyglądał jak gotowy na wszystko doradca.

— Chciałeś ze mną mówić—ozwał się do młodego towarzysza.

— Tak — odparł pan Rafał wybierając najlepszy kąsek majonezu — mam nadzieję, że mi pan jako powinowaty pewnej rady nie odmówisz.

— Służę ci!

— Przed tygodniem mówiliśmy o tem, że czas byłby wejść w związki małżeńskie.

— Wszak w tym celu wprowadziłem cię do hr. ***.

— Umiem ocenić dobroć szambelana!

— Dom zacny i... nie nowy! Stosunki powinowactwa świetne! Chęci rodziców i panny dobre!...

— Wszystko prawda — wszystko mi się tam podoba — ale pewne realniejszej natury względy nie pozwalają mi korzystać z tak zaszczytnej oferty!

— Cóż przeszkadza?

— Jest tak liczna rodzina!

— Masz przecież znaczny majątek!

— To prawda—ale... *noblesse oblige*!

— Przecież wystarczy ci!

— Ale jest obawa, że tak liczna rodzina nie utrzyma się w przyszłości na zajętem dziś stanowisku!

— Dla czego?

— Dla tylu córek trzeba będzie szukać mężów tam, gdzie się da!

Szambelan zamyślił się.

— Jest w tem coś prawdy — rzekł po chwili—ale przecież nie koniecznie tak stać się musi—jak mniemasz!

— Dzisiejsi obywatele nie koniecznie sięgają po żony z tytułami. Kosztuje to trochę za drogo a nie są czasy po temu! W takim razie...

— W takim razie rób jak ci się zdaje najlepiej.

— Nie można dzisiaj lekceważyć materyalnego położenia naszego kraju.

— Cóż to z krajem ma wspólnego?

— Fortuny nasze są w opłakanym stanie!

— Tego o tobie powiedzieć nie można. Masz dobrze zagospodarowane dwie wioski, które razem co najmniej warte są milijon! Czy masz długi osobiste?

— Żadnych—tylko towarzystwo!

— I czegoż się obawiasz?

— Niczego się nie obawiam, ale wzgląd na ogólny stan kraju...

— Jaki wzgląd?

— Względy na ogólny stan kraju wkładają na nas obowiązek wzmacniać się na naszych stanowiskach, aby tem skuteczniej odeprzeć nawał naciskających na nas niemców. Z każdym rokiem wydziedziczają nas coraz więcej!

— To prawda! odparł szambelan i westchnął lekko.

Przypomniał sobie poczciwy staruszek, że i on padł ofiarą tego nacisku germańskiego, który prawem fizycznem odbywa się od zachodu na wschód. I on przed kilkoma laty musiał rodzinną wioskę sprzedać jakiemuś koloniście z nad Szprei, a ten cios był tym boleśniejszy dla niego, że dosięgnął go właśnie w najpiękniejszej chwili życia, w której podróżując po Francyi, Anglji i Włoszech, udało mu się zrobić nader zaszczytne znajomości, być u księcia Bombino we Florencyi trzy razy na obiedzie, a w Rzymie mieć dwóch kardynałów u siebie na herbacie! Na takich wyżynach szczęścia był to cios wielki — a gdy jeszcze do tego przyłączyła się myśl bolesna, że danego księciu Montebello *rendez vous* w Biarritz z nadchodzącą wiosną nie będzie mógł dotrzymać, bo na tę małą wycieczkę już funduszów zabrakło, to potrzeba było sił herkulesowych, aby pod tym ciosem nie runąć!

Szambelan nie runął, tylko znacznie postarzał się i do ziemi pochylił. Jedyną jego rozkoszą pozostało odwiedzać dawnych znajomych swoich i tam u nich spożywać dary boże, które koniecznie są potrzebne do utrzymania życia ludzkiego.

Nic dziwnego, że wspomnienie posuwających się na wschód zaborców germańskich sprawiło w jego zacnem sercu szlachetne oburzenie.

— To prawda — mówił z blaskiem w oczach—że jesteśmy pod tym względem podobni do Indyan, których wychodźcy z Europy co raz dalej w lasy zapędzają!

— Ba! z uśmiechem odparł pan Rafał, my i lasów nie mamy, bo prusacy wycinają je w pień... rozumie się za dobrowolnym kontraktem z nami!

— Co mówisz o dobrowolnych kontraktach! Ten krzyżacki naród niby legalnie wszystko robi, a tymczasem wszędzie jest podstęp, zdrada, rozbój i szatańskie wyzyskanie położenia człowieka! Ja naprzykład...

— Nie ma co słów na to tracić—tak jest!

— Bo widzisz, gdyby oni walczyli z nami bronią szlachetną — zgoda! Broń na broń! Ale cóż zrobisz z człowiekiem, który karmi się kartoflami, pali burakowe liście zamiast hawańskiego tytuniu i grosz do grosza zbija! Naturalnie, że w końcu musi coś uskładać i nad sąsiadem wziąść górę! Czy on ma jakie szlachetniejsze potrzeby? Czyż z nas który mógłby śmiało ludziom w oczy patrzyć, gdyby choć raz nie był w Paryżu, nie pływał na morzu i nie widział choć z dalèka gór hiszpańskich?.. A niemiec nawet na kiermasz nie pójdzie by grosza nie uronić! O kobietach już nie mówić!

Uśmiechnął się pan Rafał i po majonezie zaproponował kieliszek *Lafitte*. Poczciwy szambelan zgodził się na to, bo właśnie taki kieliszek potrzebny był mu do dalszego utrzymania się w szlachetnem oburzeniu przeciw zaborczym kolonistom niemieckim.

— Powiadam ci — mówił dalej po wychyleniu kieliszka — że ta podstępna walka przyprowadzi ostatecznie nasz kraj do zupełnej ruiny! Mój brat cioteczny pan Maurycy musiał im sprzedać lasu za ćwierć milijona rubli!

— Za ćwierć milijona!

— I wyobraź sobie, jacy my biedni! Jeden z tych co na nas nastają zabrał las, a drugi wziął pieniądze!

— Wziął pieniądze!

— Maurycy przegrał je w klubie!

— To rzecz szczególna!

— Powiadam ci, że niepodołamy! Jeden zabiera za kontraktem, drugi nawet się o to nie pyta! Ruina, oczywista ruina grozi wszystkim!

Pan Rafał podgarnął włosy do góry. Usposobienie szambelana było mu bardzo na rękę. Korzystając więc z szlachetnego oburzenia szambelana, rzekł po chwili:

— Ponieważ sam szambelan zgadza się ze mną na to, że ogół naszego mienia jest rzeczywiście przez sprytnych i pracowitszych od nas kolonistów zagrożony, to jasny ztąd wniosek, że aby im sprostać, musimy warstaty nasze gospodarskie a zarazem i produkcyę powiększyć! Czy nie mam słuszności?

— Bardzo rozsądnie!

— Mam wprawdzie dobry warstat gospodarski — ale dla czegoż nie mam go powiększyć jeżeli można!

— Aby walczyć przeciw kolonistom!

— Tak... otóż żądałbym małej przysługi od kochanego szambelana!

— Zlituj się — rozporządzaj mną!

— Jest tu jedna panna, która, mówiąc nawiasem, bardzo mi się podobała!

— Czy tylko z urody?

— Tak... z urody i... w ogóle sprawia dobre wrażenie.

— Powiedz a pójdę za starostę!

— Chciałbym pierwej zrobić mały rekonesans!

— Aha! Rozumiem!

— Jest jedynaczka — urodzenie zwykłe szlacheckie — ojciec poczciwy hreczkosiej — matka trochę nienaturalnie chorująca na ton wyższy!

— Niezawodnie dorobkiewicze!

— Niekoniecznie — majątek dziedziczny w kilku pokoleniach—a stary miał coś dorobić!

— Czy wiele będzie tego?

— Mówią o cyfrze dosyć poważnej—mniej więcej odpowiedniej memu majątkowi!

— To warto nad tem się zastanowić!

— Otóż prosiłbym kochanego szambelana o pewne pośrednictwo!

— Zaraz pójdę do nich i otwarcie rozmówię się!

— Uchowaj Boże! Panna trochę za idealna — tak wprost traktować rzeczy nie można. Ale gdyby szambelan coś tak z boku dowiedział się, czy ta cyfra jest pewna....

— Z którego boku?

— Pani marszałkowa jest w dobrych stosunkach z matką... zresztą może inne drogi...

— Trzeba dobrze tę rzecz obmyślić, bo w takim razie łatwo zrobić głupie pudło! Najkrótsza droga byłaby... pójść do państwa Kazimierzów — oni tam w okolicy mają krewnych! Ale prawda... tam iść tak prędko nie mogę!

— Dla czego?

— Widzisz... widzisz kochany Rafale... przed tygodniem zrobiłem tam dług honorowy, a dziś jutro jeszcze nie będę mógł go oddać!

— Dług honorowy!

— Przegrałem w bezika kilkadziesiąt rubli!

Za pół godziny szedł szambelan w dobrym humorze z próżnym talerzem do stołu, na którym stały potrawy, i wrócił do niemniej zadowolonego kuzyna z sporym kawałkiem indyka, którym nawet w szlachetnem uniesieniu chciał się z nim podzielić. Pan Rafał podziękował za udział w indyku i poszedł do stołu po kuropatwę, której woń poczuł już zdala.

W drugim kącie salonu siedział Michał i przypatrywał się z wzorową rezygnacyą jak jego towarzysz zmiatał z talerza olbrzymie sterty mięsa, które tam w malowniczym nieładzie leżało rozłożone. Prócz tego w odwodzie stał drugi talerz z sałatą i kompotem, zapewne jako przykład, że dwa tak niezgodne z sobą żywioły mogą się na jednej przestrzeni pomieścić. Niestrudzony tancerz wierzył w to i od czasu do czasu patrzał zadowolonem okiem na taką zgodę obcych sobie żywiołów.

Poetyczny patron nie był dzisiaj jakoś przy apetycie. Siedział milczący i rozmarzony—jakby smaczne marzenia swoje przekładał nad majonez, sarninę i kuropatwę z kompotem!

— Mam wszelkie prawo jeść dzisiaj za dwóch! rzekł do niego Czesław między kawałkiem indyka a łyżką sałaty.

— To nie jest prawem, co sobie każdy sam bierze! odpowiedział z lekkim uśmiechem niejedzący patron.

— Jakto—a ty z pod pieca nie wziąłeś w duchu bystrooką Zenobiję w posiadanie?

— Ale potem mówiłem z nią o nabyciu pewnego prawa...

— Ja zaś już mam prawo z tej przyczyny, że ty nic nie jesz i swoją należytość na mnie przelałeś!

— Jeżeli ci tylko o to chodzi!

— Ciekawy jestem o co większej części zgromadzonym tutaj gościom chodzi! Aby trochę poskakać, dobrze zjeść i wypić, i potem spać do południa!

— Zapatrujesz się na ludzi z poziomu nader nizkiego!

— Już daj mi pokój o tych wszystkich wysokościach!.. Ludzie lubią o tem mile mówić i pisać, ale zajrzyj w ich życie, to obaczysz tam rzeczy bardzo powszednie!

— Zależy od tego jak kto patrzy!

— Chyba że kto ma różowe bielmo na oku! Życzę mu powodzenia i szczęśliwej drogi do domu waryatów!

— Czy każdy już ma być waryatem, który na życie z wyższego trochę zapatruje się stanowiska?

— Robi to pewnie w jakim celu egoistycznym!

Michał poczerwieniał na twarzy. Zwrócił się do towarzysza, aby mu ostro na takie poniżenie natury ludzkiej odpowiedzieć, ale namyślił się i zamilkł. Nie chciał zdradzać teraz serca swego, w którem spoczywała tak droga dla niego tajemnica. Ubocznie tylko trącił nieco o przedmiot, który go przedewszystkiem teraz zajmował.

— Patrzysz na świat zbyt cielesnem okiem — ozwał się po chwili milczenia — a przecież tu przed nami dzieją się rzeczy, w którebyś wierzyć nie chciał!

— Czy są na jutro jakie pojedynki?

— Więcej niżeli pojedynki... mogą być samobójstwa!

— Co mówisz! krzyknął bohater Terpsichory i przyłożył mu łyżkę sałaty do gardła.

Michał odsunął sałatę na bok i odparł:

— Czy myślisz, że potrzeba koniecznie rewolweru, sztyletu lub przynajmniej cyankali, aby popełnić samobójstwo? Czy nie przypuszczasz, że niejedna suknia z długim ogonem, którą dorosła dziewica po raz pierwszy wkłada na siebie, jest już samobójstwem, które w pewnych warunkach prowadzi ją do grobu jako starą pannę... Czy zaprzeczysz temu, że jeden uśmiech biednego niewiniątka, dany w zakład kupna zgrzybiałemu bogaczowi jest ową tajemniczą kroplą cyankali, która z czasem biedne, sprzedane serce zabija?.. Czy zresztą nie wierzysz, że ten lub ów wymuskany panicz, który bogatej kokietce z taką czułością rączkę ściska, aby później z tej rączki brać pieniądze na rozrywki pozadomowe—nie naciąga kurka od rewolweru, który kiedy jedynym stanie się rozjemcą między nim a przymusową towarzyszką życia?... Czy ty niewidzisz tego wszystkiego patrząc w ten tłum różnobarwny mający na ustach uśmiech fałszywy i słowa zdawkowe?.. Sprobuj tylko popatrzyć!

Poetyczny patron zanadto wkroczył teraz w krainę pessymizmu, aby towarzysz jego mógł spokojnie przełknąć całą łyżkę sałaty. Podzielił ją na dwie części i rzekł:

— Gdzież te wszystkie straszne rzeczy widzisz mój drogi? Czyż cię to tak bardzo irytuje, że do Zenobji przysiadł się teraz ten okazały jegomość z długiemi bakenbardami?

Patron roześmiał się jak człowiek, który więcej wie niżeli chce powiedzieć i odparł:

— Pannie Zenobji daj pokój w tej chwili — okazały jegomość z długiemi bakenbardami traci tylko czas niepotrzebnie, jeżeli mu kiedykolwiek o wartość czasu chodziło!

— Jeżeli masz tak wygórowane wyobraźnie o cenie czasu, to zapewne dzisiaj spotrzebowałeś go z korzyścią!

— Wracasz do uwag osobistych, podczas gdy ja ogólne tylko potrącam w rozmowie!

— Zafarbowanie naszego oka w poglądzie na świat zależy zawsze od naszych rzeczy osobistych!

— Być może—to ich szukaj w moich słowach!

— Mów dalej!

— Najsmutniejszy zwyczaj który się dzisiaj między nami rozszerza, jest ochota do grania komedyi!

— Bywało to i za czasów greckich!

— Lubiono patrzyć na aktorów, dziś wszyscy chcą być aktorami!

— A gdzież publiczność?

— Jest i publiczność — ale tej co raz mniej!

— Szczęście, że ty należysz — do publiczności, która patrzy i aktorów krytykuje!

— Wypowiadam tylko co mnie boli! Ludzie, którzy się wstydzą swojej własnej, rzeczywistej pozycyi, a przybierają rolę drugich, dowodzą, że społeczeństwo jest w upadku!

— Zlituj się! Daj mi zjeść spokojnie!

— Poczciwy szlachcic nasz wyjechawszy za granicę, wstydzi się swego szlachectwa i przybiera kosztowną rolę hrabiego — żona dzierżawcy gra w kąpielach krajowych rolę dziedziczki dóbr—a kupiec towarów norymbergskich jest poprostu—obywatelem!

— Cóż dalej?

— Kto ma tysiąc rubli dochodu przybiera pozór jakby miał dziesięć tysięcy — skłopotany na jednej wioseczce obywatel ugania się za stosunkami z księciem — a dojrzewający bankrut sprawia służbie nową liberyę, aby wyprowadzić w pole ludzi jemu życzliwych i—lichwiarzy!

— Rzecz stara jak świat! A zresztą to gra towarzyska — gdyby tej gry nie było, byłoby nudno i jednostajnie!

— Być może — ale nie jest to przyjemną rzeczą dla tych, którym ta gra zagraża!

— Teraz wiem, żeś się zakochał i jesteś niepewny końca!

— Miłość z szlachetnych pobudek zwycięża fałsz i obłudę!

— Pisz moralne powieści!

Wniesiono kieliszki z szampanem. Kapłan Terpsichory pospieszył do pieniącej się hipokreny—poetyzujący młody patron został w ciemnym kącie.

Samotność była mu teraz na rękę. Mógł do woli snuć poetyczne obrazki upragnionej przyszłości.

Najprzód przypuszczał, że wszystkiem w świecie kieruje sprawiedliwy bieg wypadków. Mogą być chwilowe zboczenia, mogą być błędne drogi i manowce, ale w końcu czeka na pielgrzyma droga bita

z Nemezą dla winnych po jednej stronie, a z Fortuną i rogiem obfitości po drugiej. Prędzej czy później musi człowiek wejść na tę drogę—a gdyby przed tą drogą umarł, to już jego wina, że mu tak spieszno było na drugi świat!

Taki pogląd na świat miał wyjątkowy, dwudziestokilkoletni patron, a chociaż pogląd ten mógł kiedyś zaszkodzić mu w prawniczym jego zawodzie lub go srodze rozczarować — nie przeszkadzał mu jednak w dzisiejszych jego marzeniach, które zacnemu jego sercu tyle rozkoszy sprawiały.

Podczas gdy szmer rozmowy różnojęzycznej i brzęk wypróżniających się talerzy w jakąś dziwną zlewały się harmoniję—przechodziły przed jego oczyma rozwijające się konsekwentnie obrazy dramatyczne.

Rodzina podlaska przechodziła według wskazówek pani Aurelji bardzo poważne koleje losu. Nie były to koleje wyjątkowe — powtarzają się one bardzo często. Z szczątkami fortuny przyjeżdża się do stolicy, otacza się blichtrem zbytku w tej błogiej nadziei, że ten blichtr sprowadzi upragniony wypadek opatrznościowy. Z ostatków funduszów sprawiona świetna toaleta ma zniewolić serce zamożniejszego kawalera, który rozkochany w jedwabiach i aksamitach zaprowadzi pannę do ołtarza a potem do swojej wioski dziedzicznej.

Bywały wypadki że tak się nieraz stało. Ta i owa wyszła w ten sposób „świetnie" za mąż, dla czegóż nieprobować szczęścia?

Na tej drodze według informacyi pani Aurelji, widział młody patron pana Piotra i uroczą jego córkę Zenobiję.

Jako człowiek, wierzący w systematyczny wymiar sprawiedliwości dziejowej, widział naprzód rezultat tych nieopartych na niczem nadziei.

Państwo Piotrowie poszumią trochę w stolicy, przeciążą swoją fortunkę nowemi długami, a gdy się wszystko — to jest kredyt i marzenia — urwie, powrócą jako rozbitki do rodzinnego legowiska, aby tam nędznie wegetować pod bolesną ekspektoracyą bliskiego wywłaszczenia.

Taki, według rachunku patrona musiał być koniec tego błyskotliwego epizodu. W tym epizodzie może zajść kilka bardzo przyjemnych, a nawet jaskrawych złudzeń. Kilka „świetnych partyi" może się olśnąć i zbliżyć do Zenobji. Zenobija może być przez czas niejaki otoczona błyszczącym rojem motyli — ale rój ten nie znalazłszy miodu w tym kwiatku, odleci od niej i zostawi jej tylko bardzo cenny materyał do długich rozpamiętywań o tem wszystkiem, co się złudnie świeci i błyszczy z daleka!...

Zenobija podług jego mniemania, już dzisiaj widzi to należycie, ale, jak powiada pani Aurelija, jest tylko posłuszną ofiarą spekulacyi rodzicielskich. Czyni jej to nawet zaszczyt nie mały, że chociaż widzi jest jednak posłuszną, że wypełniając wolę rodziców, idzie aż na sam brzeg przepaści, aby im potem powiedzieć: spełniłam co było moim obowiązkiem, a teraz.....

Przy tem słowie zadrgnęło serce młodego patrona, bo po niem nic innego nie mogło nastąpić, jak tylko własna jego osoba z całym zasobem młodych tak dziwnie jak na prawnika poetycznych uczuć.

Teraz bowiem miał się on zbliżyć do pana Piotra i człowiekowi nad przepaścią podać rękę pomocy. Miał im z rozkoszą powiedzieć: Oto w sercu mem chowałem miłość dla Zenobji — nie chciałem jej pierwej wypowiedzieć, aby biegowi rzeczy nie przesądzać, aby fałszywym rachunkom waszym przed końcem nieprzeszkadzać — a dzisiaj, gdy rezultat jest dla was tak smutny, gdy Zenobija z wysokości czarodziejki, okazywanej dotąd tłumom w atłasach i aksamitach zeszła biegiem naturalnym do skromnej perkalowej sukienki... teraz staję przed wami i proszę was o ten klejnot, którego na hałaśliwym świecie nikt ocenić nie umiał!

Tak marzył młody patron i z góry urządzał nawet skromne mieszkanko, w któremby przyzwoicie mógł trzymać swój klejnot dozgonny. Marzył także i o pewnych cyfrach, które jednak nie odnosiły się do posagu ale wypływały z możliwej pracy jego, mającej mu dostarczyć środków do uszczęśliwienia ukochanej istoty.

Wtedy jużby nie stał pod piecem jak dzisiaj, bo miałby odwagę człowieka, który pracą swoją i zarobkiem utrzymuje dom rodzinny nie odłączając od tego ani pana Piotra ani ukochanej małżonki jego, idącej dzisiaj tak błędnemi drogami!

I marzenia takie już w tej chwili tak zacną dumą napełniły pierś młodego patrona, iż uznał za stosowne wyjść z dotychczasowego kąta swego i odważnym krokiem zbliżył się do Zenobji. W tej chwili rozmawiał z nią właśnie jeden z tych złotoskrzydłych motyli, które według uzasadnionej teoryi patrona niegdyś haniebnie od niej odlecieć miały.

Z litością dla jednej, a pogardą dla drugiego przystąpił do nich patron i wmieszał się w wspólną rozmowę. Ponieważ dla trzeciego miejsca już nie było, uprzedzony przez patrona pan Rafał cofnął się śród drogi i usiadł przy pannie Petrynie, co dla pani Aurelji było rozkoszą niewysłowioną.

Z wdzięcznością spojrzała na patrona i zadowolona uśmiechnęła się do siebie uśmiechem szczęśliwego dyplomaty.

(d. c. n.)

LIST SIÓDMY

z Ameryki północnéj

W MINNESOCIE

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Przypiski.

PODANIE O POTOPIE.

(Legenda indyjska).

Nieograniczony przestwór wód pokrywał niegdyś całą płaszczyznę dzisiejszego świata.

Rodzina ludzka mieszkała podówczas w kraju zawieszonym w wyższych warstwach powietrza. Cokolwiek potrzebowała dla wygody lub rozrywki znajdowało się tam. Ludzie nie wiedzieli co znaczą słowa· śmierć, choroba, kalectwo; w myśli ich niegościły zazdrość, nienawiść, zemsta.

Wreszcie nastąpiła wielka zmiana, troski i bóle nawiedziły ludzi.

Pewien młodzian opuścił grono swych rówienników i odszedł pomiędzy gaje.

Zgryzota poryła czoło jego, ciało jego wycieńczone długiemi posty wyglądało podobniej do szkieletu jak do żyjącej istoty. Troskliwe oko przyjaciół ujrzało ten smutny widok, lecz umysł ich nie mógł rozwiązać zagadki jego smutku. Wkrótce jednak, osłabiony na ciele i duszy, przyrzekł towarzyszom iż wyjawi im przyczynę frasunku pod warunkiem, że wygrzebią głęboki dół obok korzeni olbrzymiej sosny i złożą go weń obwiniętego w kobierzec, kładąc żonę jego tuż obok.

Liczne ręce wzięły się do pracy. Drzewo wykarczowano otwierając na wylot skorupę ziemi, tak, iż jama tworzyła przejście w bezdenną otchłań u dołu. Na kobiercu rozścielonym tuż obok jamy złożono jego i żonę.

Ciekawy tłum nie pojmując przyczyny tak dziwnego obrzędu, ścisnął się dokoła, w ich oczach młodzian porwał żonę i wrzucił ją w czarną otchłań. Wstawszy natychmiast z kobierca, zawiadomił ich, iż dawno podejrzywał żonę o niewierność, i że pozbywszy się jej wnet odzyska utraconą wesołość i siły.

Zwierzęta ziemnowodne ożywiające topiel u dołu spostrzegły spadającą niewiastę. Pies morski ujrzał ją najpierw i zwołał naradę zwierząt. Istota spadająca należała do ludzkiej rodziny, ziemia więc była niezbędnie potrzebną do wsparcia jej. Zkąd dostać ziemi i na czyim pomieścić ją grzbiecie?

Niedźwiedź biały pierwszy się zalecił, twierdząc iż siły jego starczą na dźwiganie ciężaru ziemi i gościa. Wszystkie zwierzęta wskoczyły natychmiast na barki jego, niedźwiedź zbytnie objuczony zagłębił się w nurtach, uznano go więc jako zbyt wątłą podporę dla ziemi. Kilka innych zwierząt również nie podołało próbie. Żółw potulny zjawił się wreszcie i ofiarował swe szerokie plecy jako podstawę dla nowego świata. Gdy inne zwierzęta tłocząc się na skorupę jego, nie zdołały pchnąć go pod wodę, przyznano mu palmę pierwszeństwa i zdolność dźwigania świata.

Znalazłszy podstawę, chodziło o dostanie ziemi. Kilka najlepszych nurków zagłębiło się do dna topieli lecz wypłynęło napowrót bez życia. Wydra nareszcie choć również martwa trzymała w zaciśniętych pazurach cokolwiek gliny. Tę położono na barkach żółwia.

Niewiasta spadała tymczasem bezustannie aż wreszcie padła na żółwia. Ziemia rozrosła się podówczas do wielkości stopy ludzkiej, kobieta mogła więc stanąć na niej, zakładając nogę na nogę. Wkrótce starczyło miejsca na obie stopy, wnet i usiąść mogła. Ziemia wciąż się rozprzestrzeniała, pokryła się trawą zieloną, później rzeki z niej trysnęły, i popłynęły ku topieli, nad brzegami morza zbudowała niewiasta swój wigwam. Tam zrodziła córkę i karmiąc ją płodami samorodnemi ziemi, wychowała ją na dziewicę. Kilka zwierząt przybrało postać młodzieńców, by otrzymać rękę dziewczyny, lecz matka powodowana wdzięcznością, oddała ją żółwiowi za małżonkę.

Ilekroć dziewczę układło się do snu, żółw kładł na niej na krzyż dwie strzały. Jedną ze strzał ostry krzemień kończył, drugą opalone drewno. Wkrótce żona żółwia powiła dwóch synów lecz sama umarła.

Babka rozżalona stratą córki, cisnęła bliźnięta do morza. Zaledwie jednak wróciła do wigwamu już i dzieci ją dogniały, nie mogąc się ich pozbyć, pozostawiła je przy życiu. Ciało córki przecięła na dwie części i cisnęła je ku niebu. Jedna połowa przekształciła się w słońce, druga w księżyc. Odtąd rozpoczęła się zmiana dnia i nocy. Dzieci wyrosły na mężczyzn zręcznych w używaniu łuku i strzał. Starszy wziął strzałę zaostrzoną w krzemień, młodszy drewnianą. Starszy ulubieniec babki, zabijał dużo zwierzyny, lecz nie dzielił się nią z młodszym, którego strzała tylko ptaki zabijała.

Nieszczęsny brat młodszy szedł raz nad brzegiem morza i ujrzał ptaka kołyszącego się na konarach dużego drzewa. Zmierzył się doń i wypuścił swą strzałę zwykle niechybną. Tą razą chybił pocisk celu i padł w wodę.

W rozpaczy skoczył i on za straconą strzałą i zapuścił się ku dnu topieli. Tu ku wielkiemu zdziwieniu znalazł chatkę. Piękny staruszek przyjął go w niej z uśmiechem na ustach i wyrzekł: Synu mój, witam cię w domu ojca twego. By spotkać się z to-

bą wdmuchnąłem strzałę do morza, teraz zwracam ci ją i dodaję źdźbło zboża (szyszkę kukurydzy). Nad postępkami twego brata czuwałem i rozkazuję ci odebrać mu życie. Wróciwszy na ziemię zbierz wszystkie krzemienie i wszystkie rogi jelenie, temi tylko przebodziesz ciało jego złożone z krzemienia.

Młodzieniec wrócił na ziemię otrzymawszy takie rozkazy i wypowiedziawszy walkę bratu wypędził go po za stepy. Tu przebódł go a krzemienne ciało starszego brata utworzyło góry skaliste. Zniszczywszy nieprzyjaciela wrócił do domu. Potomstwo wyrastało mu z ziemi i mnożyło się w spokoju. Babka rozwścieklona wskutek straty ulubieńca postanowiła zemścić się nad zabójcą. Namówiła deszcz by padał na ziemię przez dni wiele, aż woda okryła najwyższe góry. Mieszkańcy schronili się jednak do swych kanotów (łodzi). Wtedy okryła ziemię śniegiem, oni jednak utrzymali się na grzęzkiej powierzchni za pomocą obuwia śniegowego. Przekonawszy się iż nie wytępi ich jednym ciosem, zadawalnia się odtąd wyrządzaniem psot bezustannych, podczas gdy wnuk jej zsyła na ziemię wszystkie pożyteczne dary.

Taką legendę można usłyszyć wszędzie powtarzaną, a teraz dam wam wiadomość o wojowniku zwanym:

CZERWONA CHMURA.

Straszny ów przed kilkoma laty a dziś szanowany wódz Suów, żyjący zwykle u źródeł wielkich rzek Cheyenne, Powder, Yellowstonne wpływających do Minnesoty w prowincyi Dakota, odwiedził przed kilkoma laty Waschington i postawą swą, wymową i stoiczną niedbałością o przepych i wygody białych ludzi, zwrócił na siebie powszechną uwagę. Rodacy czytający amerykańskie czasopisma pamiętają może opisy tych odwiedzin.

Wodza nie spotkałem osobiście podczas mej wycieczki do Dakoty ku wielkiemu memu niezadowoleniu. Nie spotkałem też krwi chciwego jego porucznika *Pstrego ogona*. Nie mogłem się więc przekonać osobiście, ażali opowiadania o wymowie tych wojowników stepu nie były przesadzone.

Jako przykład wymowy indyjskiej podaję tłomaczoną oracyę, jaką wedle jednej z ówczesnych gazet powitał Saszem prezydenta Granta. Odtrąciwszy ofiarowane mu krzesło i siadając na podłodze, rzekł:

„Przyszedłem od zachodu słońca. Was przyuczono do siadania na stołkach, ja chcę siedzieć jak siadają wojownicy Indyanów.

Duch wielki wychował mnie w ten sposób, bez nauki i odzieży. Ja nie chce się sprzeciwiać wielkiemu ojcu w białym domu (prezydentowi), nie pragnę wojny. Posłałem mą prośbę do wielkiego ojca bym mógł tu zawitać cały i zdrów. Chciałem ci bowiem powiedzieć ojcze wielki te słowa: popatrz na mnie, wyrosłem gdzie słońce zachodzi i żyję też u zachodu słońca. Czyjże głos słyszano najpierw w owym kraju? Czyż nie czerwonych dzieci?...

Kto podjął najpierw łuk? (rozpoczął wojnę). Ojciec wielki może być dobrotliwy i pełny łaski, lecz ja inaczej rzecz widzę. Jam był łaskaw dla białych, oddając im me łany, a teraz przybyłem od zachodu słońca, by was ujrzyć. Ojciec wielki posłał tam swych ludzi by mnie ze wszystkiego wyzuli, zostawiając mi tylko wyspę. Nasz lud niknie jak śnieg na stokach gór słońcem ogrzewanych, lud biały mnoży się jak źdźbła trawy gdy ciepło wiosenne się zbliża. Nie chcę by lud biały robił drogi przez kraj mój. Od dziś, gdy widziałem wielkiego ojca, nie chcę i nie pragnę krwi po powrocie do domu. Ludzie biali zrosili trawę dokoła fortecy Fetterman krwią naszych, zniszcz tę fortecę a zachowamy się spokojnie i boje ustaną.

Mam jeszcze dwie góry w mym kraju, czarne pagórki i Róg wielki. Tam nie chcę dróg, nie chcę by wbijano koły w moje grunta (znaki miernicze). Wyrwijcie z nich wbite koły. Trzy razy powtórzyłem to żądanie, powtarzam je po raz czwarty. Przybyłem by oświadczyć wam me zamiary. Nie potrzebuję rezerwacyi nad źródłami Missouri dla mego ludu; duch wielki wychował mnie nad widłami Platty (gdzie dwie Platty się łączą). Zwróćcie mi widła Platty bo lud mój wymiera jak owce, gdyż teraźniejsza ich ziemia nie odpowiada im. Oddajcie mi widła Platty, ojciec i matka powiadali mi iż do mnie należą.

Od północy i zachodu przybywa lud czerwony do wielkiego ojca i pyta, dla czego rozkradają w drodze towary przyrzeczone ludowi, tak iż tylko garstka ich naszych rąk dochodzi?

Parę słów o pracy kobiecej.

Zachęcona przychylnym odgłosem, upoważniona długoletniem doświadczeniem, gdyż już trzecie kształcę pokolenie, wypowiadam moje poglądy co do rozwoju prac kobiecych i usiłowań na drodze niezależnego bytu. Każda uczennica chcąca się kształcić fachowo, winna mieć jasną siebie wiedzę, zbadać zdolności i wyrobić silną wolę do wytrwania w raz przedsięwziętem postanowieniu. Wszystko niszczy chwiejąca się niewytrwałość, a wyrobienie woli jest najważniejszem na drodze udoskonalenia, ono jedno usuwa wszelkie trudności, niekiedy nawet i wtenczas kiedy mierna zdolność nie wiele obiecywać się zdaje. Nie wiem dla czego tak trudno do rzemiosł zachęcić nasze zacne rodaczki: czy jeszcze zastarzałe przesądy wałęsają się wśród nas na spruchniałych nogach i zachrzypłym głosem podniecają resztki naszej dumy? Czy pokonanie trudności na zawadzie? Bądź co bądź, zawsze czas już otrząsnąć się z przesądów, i stanąć do walki z obecną chwilą. Na korzyść rzemiosł i to powiedzieć można, że wyrabiają stanowisko niezależne, są bez porównania korzystniejsze od igiełki, i byle tylko z gruntowną znajomością rzeczy prowadzone, zawsze przedstawiają ogromne pole działalności zasiewając puste odłogi chlebodawczym kłosem.

Że w rzemiosłach nie masz wielkich trudności do pokonania, jasny dowód w uzdolnieniu tylu uczennic. Obecnie nawet panna Woźniakowska Zofija, (z gub. Chersońskiej), w przeciągu czterech miesięcy uzdolniła się dokładnie w szewctwie, kroju i koronkach, umiejąc pogodzić najdelikatniejsze tkanki koronek z grubą dratwą i ciężkim młotem, a że ma zamiar otworzyć pracownię w Odessie, Boże szczęść poczciwym usiłowaniom i błogosław pracy! Doświadczenie przekonało że z przybywających do pracowni uczennic, nie wszystkie posiadają cnotę wytrwałości, trafia się, że kiedy brakuje zaledwie kilka kroków aby stanąć u celu, opuszczają ręce wątpiąc o swojej sile. Inne znowu przy miernych zdolnościach, w przeciągu pary miesięcy chcą ukończyć kursa. Są jeszcze i takie, które nie znalazłszy w pracowni wymarzonej wygody, niezadowolenie swoje głośno objawiają. Schlebianie chwilowym zachciankom w żaden sposób nie da się pogodzić z życiem pracowitem i użytecznem, trzeba umieć iść na przebój w walce nietylko z trudnościami, ale nawet z sobą samą, aby wyrobić charakter silny i stanowisko niezależne. Celem zatem pracowni jest zbroić w siłę moralną do walki z życiem, i uzdolniać fachowo, aby mieć broń odporną, przeciw pociskom losu.

Dla łatwiejszego dopięcia celu, podzieliłam kursa na trzy oddziały. W pierwszym znajdują się uczennice, które uzdolniają się w szyciu bielizny ręcznie i na maszynie, w znaczeniu, hafcie, oraz dokładnem poznaniu nauki kroju, a gdy wyrobią w sobie charakter łagodny, popracują nad poznaniem choćby tylko czterech działań, oraz język ojczysty nie będzie im obcym, wszędzie pomieszczenie i szacunek znajdą, zwłaszcza po wsiach, gdzie obywatelki nasze umieją cenić zdolność i przychylność. Takie uczennice przyjmują się w połowie ceny i o takie to robiłam po kilka razy odezwę do obywatelek naszych, chcąc je zachęcić do opieki nad ubogiemi panienkami, które skoroby im zawdzięczały przyszłość, miałyby prawo do ich serca i przychylności. A lubo wdzięczność z dobrodziejstwem rzadko kiedy się łączy, Pan Bóg płaci za biedne, a chojny w nagrodach. Drugi oddział, są to przyszłe założycielki specyalnych fabryk w kraju, które uzdolniwszy się fachowo, potrafią kiedyś stać się użytecznemi dla siebie i swoich. Takie, prócz fachowego uzdolnienia powinny jeszcze kształcić się w językach i buchalteryi. Każda fabryka, chociażby tylko koronek, kwiatów lub introligatorstwa, jeżeli z dokładną znajomością rzeczy ma być prowadzoną, obejść się bez tego nie może. Znajomość języków ułatwi korespondencyę z zagranicą, a buchalterya zabezpieczy od bankructwa. Nakoniec trzeci oddział są to przyszłe przełożone szkół realnych dla kobiet. Te już wszechstronnie winny być wykształcone, aby jednocześnie rozwijać stronę naukową, fachową i finansową, umieć przy energji zachować ogólną harmonije, siłę woli i pobłażliwości. Jest to zadanie do którego potrzeba nauczycielek z powołania fachowo uzdolnionych. Dla czegoż, pytam, takie kobiety nie mają przyjmować na siebie obowiązków, którym odpowiedzieć z całą znajomością rzeczy są zdolne. Dla czego osoby naukowe dają się w życiu praktycznem wyprzedzać wykształconym fachowo i gdy te ostatnie przychodzą do majątków, pierwsze zamieszkują niekiedy poddasza, szczupłym zarobkiem z prywatnych lekcyi zaspakajając potrzeby. Gruntowna nauka wszędzie i zawsze jest użyteczną, widzimy to zagranicą, gdzie ludzie wykształceni prowadzą rzemiosła.

Jak wyżej wspomniałam, uczennice pierwszego oddziału w połowie tylko płacą, jeżeli przez opiekunki są umieszczane, a ponieważ rozmaite ztąd powstały komentarze, jakoby opieka za wielkie ofiary ponosić musiała, otóż nadmieniam że żadnych, prócz zaopiekowania się ubogiemi panienkami, których dziś zwłaszcza z podupadłych rodzin bardzo wiele do pracowni się zgłasza. Uczennice wszechstronnie się kształcące, to jest umysłowo i fachowo płacą miesięcznie rs. 20. Przychodnie zaś od każdej nauki osobną wnoszą opłatę i tak: Od nauki kroju, szycia ręcznego i maszynowego, oraz znaczenia bielizny rs. 25. Od zupełnego wyuczenia kwiatów, do których sprowadziłam Paryżankę rs. 30. Od nauki koronek, strojów lub ogrodownictwa rs. 15. Rzemiosła dla przychodnich stanowią bezpłatne kursa. Szkoła niedzielna języków, buchalteryi i rysunków kosztuje rs. 3 miesięcznie. W pracowni dostać można kwiatów, strojów, rękawiczek, parasolików, pudełek i t. d. Przyjmują się wszelkie obstalunki.

Przełożona pracowni we Włocławku

Agnieszka Bufle.

Nowy park i pałac Aleksandra w Londynie.

Z czasopisma rosyjskiego „Tydzień.“

W roku 1873, dnia 24 maja w jednem z najpiękniejszych przedmieści Londynu, na wzgórzu Monsuels, otwarty został pałac Aleksandra (Alexandra Palace), wzniesiony z materyałów, które służyły do zbudowania gmachu Wystawy Powszechnej 1862. W parę tygodni potem, dnia 9 Czerwca w niedokończonej części jego wybuchł pożar; ogień z nadzwyczajną siłą ogarnął gmach cały i w kilka godzin wspaniały pałac zamieniony został w kupę gruzów i popiołu. Ogień prócz tego, pochłonął z wielkim trudem i kosztem zebrane i wystawione skarby sztuki i drogie towary przywiezione dla sprzedaży.

Pierwszego maja bieżącego roku, feniks powstał z popiołów. Pałac Aleksandra zjawił się w drugiem poprawnem i dopełnionem wydaniu. Otwarto go znowu dla publiczności.

Pewnego poranku poszedłem go obejrzyć. Mgła wisząca nad Londynem, nikła pod ciepłemi promieniami słonecznemi; majowa zieloność zakrywała przede mną krzątanie się olbrzymiego miasta; wraz z powiewami wiosennego wiatru przez otwarte okna wciskał się do pokoju mego zapach kwitnących drzew... zapragnąłem być na wsi. Tymczasem, za zieloną gąszczą skweru rozlegał się głucho gwar życia miastowego. Udałem się do najbliższej stacyi podziemnej kolei żelaznej. Alexandra Palace znajduje się w Londynie, lecz zaraz zobaczycie jakie tu są odległości w tem mieście.

— Czy można dostać bilet wprost do Palace Alexandra? zapytałem kasyera.

— Można. Powinieneś pan przesiąść do drugiego pociągu w Kings-Kross.

Zdziwiłem się. Kings-Kross jest jedenastą stacyą podziemną, licząc od tej na której się znajdowałem. A więc przynajmniej 40 minut będę pod ziemią.

— Czy nie ma bliższej drogi? zapytałem.

— Nie ma. Możesz pan udać się inną drogą, lecz zaręczam że ta jest najkrótszą — odparł grzecznie kasyer stemplując mój bilet.

Westchnąłem, położyłem dwa szylingi — cena biletu tam i napowrót, i zeszedłem na dół pod ziemię. Po upływie trzech kwadransów byłem już na stacyi Kings-Kross, wyskoczyłem z wagonu i usiadłem na platformie na ławeczce oczekując odpowiedniego wagonu. Wypadało czekać 12 minut. W przeciągu tych 12 minut, koło stacyi przeszło 18 pociągów. Świst, stuk, turkot, otwieranie i zamykanie drzwi wagonów. Głowa zaczynała mnie boleć. Lecz oto i pociąg mój z napisem nad wagonami „Alexandra Palace.“ Wyśmienicie! Na następnej stacyi chłopczyk wsunął przez okno eleganckie zielone i różowe książeczki: „Oficyalny przewodnik po nowo-otwartym pałacu i parku“. Cena 1 penni (trzy kopiejki). U nas za to wzięliby przynajmniej rubla. Piękna okładka, masa dobrych rysunków, piękny, wyraźny druk, gruby, gładki jak atłas papier i masa ciekawych szczegółów. Jeszczem nie skończył przeglądać przewodnika, a już pociąg nasz wyszedł z pod ziemi i przebiegał przedmieście. Krótkie szeregi dwupiętrowych z żółtej cegły domów rozrzucone były na zielonej łące, lub tuliły się pod cieniem szerokich gałęzi starych wiązów i dębów. Ciemno-zielone żywe płoty otaczały ogrody. Koło nowo zakładającego się Finsburgskiego parku budowało się z dziesięć nowych dróg żelaznych... Za Finsburgiem—pola, łąki, zielona falista miejscowość. W tem pokazało się i Mosuelskie wzgórze. Na jego podługowatym szczycie wznosił się gmach wspaniały, podobny na pierwszy rzut oka, do pałacu Louvre w Paryżu. Słońce przeglądało się miejscami w jego szklannym dachu. Na pochyłości wzgórza, na około gmachu rozrzucony był czarująco świeżej zieloności park, w którym pstrzyły się rozmaite pawilony, błyszczały jeziorka i stawy — rozwiewały się chorągwie.

— Wieś japońska — rzekł mój sąsiad w chwili gdyśmy mijali róg parku i przejeżdżali koło oryginalnych budynków pomalowanych na bury kolor.

— Ach, jak to piękne — zawołała pewna angielka jadąca z matką swą na przechadzkę.

Wjechaliśmy na debarkader. Spojrzałem na zegarek. Od chwili jakem usiadł na owej stacyi do wagonu, upłynęła godzina i minut 20. Pociągi szły z prędkością 80 wiorst na godzinę, zatrzymywały się po kilka sekund i to bardzo rzadko, a jednak jechaliśmy godzinę i 20 minut!

Z foksalu, nie wychodząc z pod gościnnego szklannego dachu, przeszliśmy wprost do głównego budynku. Szerokie wschody i szeroka szklanna galerya przywiodły nas do centralnej sali. W przestrzeni tłum nagle się rozprysnął i jakby roztopniał. Sala jest olbrzymiej wielkości, 386 stóp długa i 184 szeroka. Z boku kolumnada. Pół-okrągłe i na pół szklanne sklepienie w całą długość gmachu, oświetlają jego wnętrze. Kolory któremi ozdobione są ściany, kolumny, organ, (podobny zdaleka do ozdobionego kwiatami ołtarza) są pstre lecz nie jaskrawe, raczej blade jak niebo angielskie. Niebieski i żółty przeważają i przeplatane są złotem, lecz cień ich tak delikatny, że prawie się zlewają i nie rażą oka. Gdyby pomiędzy kolumnami nie pomieszczono królów angielskich w jaskrawych ubraniach, można byłoby tę mieszaninę kolorów przebaczyć. Lecz postacie te ubrane z historyczną prawdą rażą oko. U wszystkich korony, szpady, berła, łańcuchy złote; płaszcze purpurowe, gronostajowe; ubrania lilijowe, żółte, szafirowe. Wysokie piedestały ozdobione są jaskrawemi herbami Wielkiej Brytanji. Daleko byłoby lepiej, gdyby artyści trzymali się jeszcze mniemanej prawdy historycznej, wówczas ubrania na królach byłyby więcej zblakłe; teraz zaś wszystkie te postacie jaskrawe i ubrane jakby z igły zdjęte, że nawet Karol I wygląda krwistym. Kromwell tylko sam jeden stojący w swej purytańskiej sukni koloru skóry z czarną przez plecy szarfą, przerywa niemiły i szychowy blask tego pstrego koloru. Za kolumnadą, przy samych ścianach stoją posągi z białego marmuru. Dwie Wenery, jedna Kanowy, druga Torwaldsena, stoją u drzwi biura policyi. W jednym końcu sali znajduje się organ otoczony kwiatami i biustami znakomitych muzyków. W przeciwległym końcu, wyjście na taras a za nią obszerny widok na okolicę.

Kiedym oglądał salę, podszedł ku mnie niski staruszek z założonemi po napoleonowsku w tył rękami. Był to jeden ze znajomych mi członków biorących udział w urządzeniu Aleksandra Palace.

— Co pan patrzysz na organ? zapytał ciekawie. Kiedyś organ Pałacu Kryształowego był uważany za najlepszy, potem najlepszy organ był w kościele Ś-go Pawła, potem Albertowej sali, ale nasz obecnie jest najlepszy. Patrz pan—pięć klawijatur.

Spojrzałem. W istocie klawijatury było pięć piątr.

— Miechy organu tego mieszczą się w suterenach, i wprawiają się w ruch za pomocą dwóch parowych machin o sile dwudziestu koni. Zwróć pan uwagę na to, że potrzebne powietrze maszyny czerpią nie z sali lecz z oddzielnego rezerwoaru. I zresztą, organ można ocenić wieczorem, gdy na nim grać będą. A teraz, idźmy. Póki mam czas pokażę panu nowe miasto. Uśmiechnąłem się. Czego się pan śmieje, mówił M. dalej. Ma się rozumieć, miasto. W sali tej, panuje wyłącznie poważna, klasyczna muzyka, i w niej mieścić się może około 15,000 publiczności, w drugiej, mniejszej sali mieścić się może ze 3,500 ludzi, w teatrze też ze 3,500 widzów, w sali jadalnej pomieścić się może z 1,000 ludzi, nie mówiąc o galeryach otaczających jadalną salę i o 34 innych bufetach rozrzuconych w tym gmachu i w parku, nie mówiąc o znajdującym się w ogrodzie — budynku — i M. wskazał mi przez okno na dom jakiś — przeznaczony dla rozmaitych bankietów i mogącym pomieścić w sobie ze 2000 publiczności.

Budynek na który M. zwrócił uwagę moją, był nadzwyczaj podobny do domków z papier maché sprzedawanych w magazynach cacek dziecinnych. „Jest to stary styl angielski“ objaśnił mnie cicerone.

— Nie bardzo piękny — rzekłem. M. wzruszył ramionami i rzekł: „lecz nasz“ prawdziwie angielski.

— Panowie liczycie na ogromny apetyt publiczności! Macie tak dużo bufetów.

W tej chwili koło nas przebiegł garson z talerzami. W dziurce od surduta świecił N. 197.

— Czyżbyście mieli 197 garsonów? — zapytałem M.

— Nie 197, lecz mamy ich 400. Pułk cały. Lecz proszę pana nie myśl, abyśmy myśleli tylko o muzyce i jedzeniu. Człowiek żyje nie jednym chlebem. Pójdźmy. Co pan chcesz widzieć?

— Wszystko.

— Wszystko—to wiele, lecz w końcu niech i tak będzie.

Poprowadził mnie do galeryi obrazów. Między obrazami znajdującemi się tu stale na wystawie, były i inne wystawione na sprzedaż. Germanija na pierwszym planie. Towarzystwo artystyczne z München wysłało ze 300 nowych obrazów; po szkole germańskiej następuje bogaty zbiór obrazów belgijskich, angielskich i t. d. Z Rossyi nic nie ma. Dalej przebiegliśmy tylko przez oddział rzeźb. Kilka tysięcy posągów, kopji ze wszystkich znakomitych posągów starożytnych—nowych — i oryginalnych. Kto chce może się zachwycać, kto ma pieniądze może kupić.

— Wszystko to ściąga publiczność—mówił p. M. Za wystawę obrazów i posągów nie pobieramy żadnej opłaty i bierzemy je w komis. W razie sprzedaży odliczamy na korzyść naszą 5 procentów, a więc i my i artyści korzystamy.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Odpowiedź na recenzyę p. Ludwika Niemojowskiego, zamieszczoną w Nr. 11 Tygodnika Mód i Powieści.

(Dokończenie).

6) Nie poprzestaje p. Niemojowski na wyliczeniu tych strasznych win. Stara się wynaleść również niesprawiedliwe i bezzasadne zarzuty w opisie Afryki. I tak np. nie podoba mu się, że nie wymieniłam wszystkich plemion zamieszkujących tę część świata, a przynajmniej tych, o których recenzent właśnie słyszał. Gerstaecker, jak to już powiedziałam, przyjął za zasadę w tem dziełku nie męczyć naprożno główek dziecięcych zbyt licznem cytowaniem imion własnych, i ja w zupełności podzielam ten pogląd autora; z ludów więc afrykańskich wymieniłam tylko niektóre, a 20 milijonowe, i niejaki już wpływ wywierające na swych współbraci pokolenie *Fellatahów* uważałam za ważniejsze, aniżeli *Bombarosów*. Ple-

mię *Makololosów*, o które tak idzie krytykowi wyraźnie, a nawet kursywą napisane w książce. Nie moja wina, że p. N. wielu rzeczy widzieć nie chce.

W dalszym ciągu zarzutów co do Afryki pisze p. Niemojowski: „Określenie kraju tunetańskiego jest najzupełniej fałszywem. Naprzód mieszkańcy tych stron oprócz nie zbyt (sic) licznych Mauretanów stolicę państwa zamieszkujących, nie trudnią się rękodzielnictwem, lecz tworzą pasterskie pokolenia arabów koczujących: powtóre cywilizacya europejska niezdołała dotąd pomimo wszelkich starań wywrzeć tam zbawiennego wpływu i t. d."

Tymczasem w książce stoi tak: „W Tunisie już od r. 1842 zniesiono niewolnictwo; władcy starają się urządzić ten kraj na wzór europejski. Stolica Tunis ma 150,000 mieszkańców, zajmujących się przeważnie rękodzielnictwem."

Gdzież powiedziane, że mieszkańcy całego kraju trudnią się wyłącznie rękodzielnictwem? Czyż i tu nie przebija nieuwaga lub niezrozumienie rzeczy, lub też, co podobniejsze do prawdy, chęć potępienia dziełka jakąkolwiek bądź drogą?

Prócz takiego przekręcenia myśli nastręcza się tu koniecznie i druga kwestya. P. N. zaprzecza stanowczo wpływu cywilizacyi europejskiej na państwo tunetańskie, dlatego, że podobno kiedyś przed kilkunastoma laty widział tam zbyt surowy wymiar sprawiedliwości (głowy skazanych zatknięte na żelaznych gwoździach), gdy tymczasem coraz bardziej rozszerzające się stosunki handlowe z tym krajem zadają wyraźny kłam krytykowi. Przemysł tamtejszy podnosi się, a przynajmniej nie stoi tak nisko, jak utrzymuje recenzent.

7) Nareszcie p. Niemojowski chcąc zadać ostateczny cios dziełku przeze mnie opracowanemu, i zetrzeć je na proch, powiada: „*Bezzaprzeczenia* większa ilość podobnych szczegółików pomieszczoną jest w opisach Ameryki, *Polinezyi i Oceanji* (zdaje się, że nazwa Polinezya czyli Oceanija znaczy jedno i toż samo; ma ona podobno oznaczać gromady wysp australskich rozsianych na oceanie Wielkim. Czyżby recenzent chciał odkryć szóstą część świata?) jeżeli one wszystkie są równie prawdziwe, jak te, których użyto do opisania północnej Azyi i Afryki, to książka pod tyt. „Jak wygląda świat" nie odpowiada swojemu założeniu."

Jeszcze raz zwracam się z zapytaniem do publiczności i autorów, czy *wolno* krytykowi bawić się w podobne przypuszczenia?! Czy wolno potępić kogoś na domysł, nie przekonawszy się, czy ten ktoś zasługuje rzeczywiście na potępienie? Dla krytyka nie istnieje żadne *jeżeli*! Krytyk skoro chce dać sprawozdanie o jakiejś pracy, *musi* ją wprzód zgłębić i przejrzyć na wylot, poznać cel dzieła, wtajemniczyć się w ducha każdego wyrazu, inaczej krytyka jego będzie bezzasadną, a taka właśnie cecha znamionuje recenzyę p. Niemojowskiego, jak to wykazałam dowodnie, rozbierając kolejno każdy z jego zarzutów.

P. *Niemojowski Ludwik* lituje się „nad grubą nieświadomością *Fryderyka Gerstaeckera* o rzeczach powszechnie wiadomych i do elementarnych niemal zasad nauki należących; karci surowo biednego autora za to, że „prawi na chybił trafił, bez dokładnego obznajmienia się z opisywanym przedmiotem *nieuzasadnione niczem brednie*", mnie zaś za to, że te „brednie *bezmyślnie* powtarzam!" Zaiste, srogi zarzut!! Pomijam już siebie (chociaż ta *bezmyślność* okazała się dotąd tylko w zbyt bujnej a nieprzyjaznej mi wyobraźni krytyka T. M. i P.), ależ czy wolno p. Niemojowskiemu zarzucać nieuctwo lub nieznajomość geografji Gerstaeckerowi?! W opisie licznych swoich podróży, jak: wydana w Stuttgardzie i Tübingen kilkotomowa podróż po Ameryce południowej, Kalifornji, wyspach południowego oceanu, Australji, Jawie i t. d. (recenzent niedostatecznie widać zna belletrystykę i podróżopisarstwo niemieckie, skoro przytacza parę tylko powieści Gerstaeckera) nie popełnił on nigdzie tak grubych błędów naukowych, jak sprawozdawca w kilkudziesięciu wierszach swojej krytyki.

Śmieszną zarozumiałością byłoby z mojej strony utrzymywać, że dziełko jakkolwiek znakomitego podróżopisarza i belletrysty niemieckiego nie podlega żadnemu zarzutowi, tem bardziej, że książka ta przepolszczona zawiera niejeden rozdział oryginalnie przeze mnie obrobiony, a ja pierwsze niemal kroki stawiam na drodze pracy literackiej; krytyki więc oczekiwałam, krytykę sprawiedliwą i rozumną przyjmę z wdzięcznością, ale nieuzasadnione zarzuty odpierać będę całą siłą, bez żadnego ociągania się; teraz tylko spóźniłam się może z odpowiedzią, gdyż przydłuższa nieco choroba związała mi myśl i rękę.

Zuzanna Zajączkowska.

Odpowiedź na zarzuty panny Zuzanny Zajączkowskiej.

Mówią powszechnie iż obrażona miłość własna początkujących autorów, nie zna miary ni granic, nie sądziłem jednak nigdy ażeby ten stan gorączkowy był udziałem tłumaczów. P. Zuzanna Zajączkowska nie mogąc mi darować iż nie obsypałem pochwałami przepolszczonego przez nią dzieła, staje w obronie p. Gerstaeckera w szczególności a niemców w ogólności. Nie dosyć że mnie obrzuca wszelkiego rodzaju niegrzecznemi epitetami, posądza o naigrawanie się z praw ludzkich a nawet *boskich*! ale koniecznie chce dopatrzyć (i to kilkakrotnie powtarza) osobistej mojej niechęci ku niej i ku...autorowi, którego grube, a przezemnie wytknięte błędy, stała się uniewinnić.

Zobaczemy teraz jak się bierze do tego.

Twierdzenie moje, iż dziecko które raz już widzieliśmy pojętnem i wysoko rozwiniętem nie może bez pogwałcenia logiki w kilka miesięcy *później* okazać się zupełnie ograniczonem, pragnie zbić zapewnieniem, że podobne przeskoki są u młodocianego pokolenia naturalnemi. Podobne przeskoki nie byłyby jednak niczem innem, jak cofaniem się wstecz, i dałyby nader smutne wyobrażenie o rezultacie przedsiębranego przez p. Gerstaeckera a popieranego przez p. Z. wychowania dzieci.

Wprawdzie rozliczne przyjęto podziały w Zoologji, najwięcej jednak używany jest ten, który zwierzęta drapieżne rozróżnia od innych możnością wsuwania i wysuwania pazurów. Sama etymologia wyrazu: drapać, drapie i t. d. to pokazuje—do takich należą: kot domowy, kot-lew, kot-tygrys i t. d. Podział podług ilości zębów jest wadliwym i to pod wieloma względami; nazwanie zaś zwierzęcia drapieżnem dla tego że jest mięsożernem, uważamy po prostu jako anomalią.

Dalej p. Zajączkowska twierdzi, iż na str. 330 i 331 przepolszczonego przez nią dzieła jest mowa o przejściu Syberyi pod panowanie rossyjskie, ja zaś zmuszony jestem jeszcze raz stanowczo i kategorycznie zaprzeczyć jej słowom, i powiedzieć, że ani na przytoczonych stronnicach, ani też na żadnych innych o wspomnionem *przejściu* niema mowy; pobieżna bowiem wzmianka o tem, iż Rosya nie samą tylko Syberyę posiada w Azyi, lub że w Syberyi mieszkają także rosyanie, trudno uważać za objaśnienie tego najważniejszego w opisywanej prowincyi faktu.

Albo należało nic nie wspominać o plemionach zamieszkujących Syberyę, albo też je wszystkie bez wyjątku wymienić, tak przynajmniej nakazuje zdrowa logika; nierówne jednak więcej rażącym błędem jest wyliczanie takich szczepów, jak np. Baszkirów które wcale Syberyi nie zamieszkują, z pominięciem tych które od wieków są tam osiedleni np. Sajanców, Ostiaków, Giliaków, Samagrów, a nawet najliczniejszych Tatarów, Buryatów, Jakutów; zamieszczenie znów 500 główek liczącej garstki Czukczów z opuszczeniem np. przeszło 150 tysięcznego pokolenia tatarskiego, dla tego tylko że pierwsi wysoko na północy mieszkają, nie da się niczem usprawiedliwić. Co do religji, p. Gerstaecker a za nim p. Zajączkowska podali ją fałszywie. Z tego zarzutu broni się szanowna oponentka mówiąc, że krótką tylko o zasadach wiary różnoplemieńców podała wzmiankę, gdyż jej nie chodziło o popisywanie się z erudycyą; ale najkrótsza nawet wzmianka a nieposzanowanie prawdy są to dwie rzeczy całkiem różne i zupełnie odrębne. Tymczasem owa tak zwana krótka wzmianka w opisie jednego tylko budyjskiego wyznania, zajmuje całą str. 322 czyli 40 wierszy druku. Oprócz nieumiejętnego podania faktów autor pod względem opisu buddaizmu sam z sobą staje w sprzeczności: nazywa Buddę człowiekiem rozumnym, szlachetnym, wybawicielem ludzkości, mistrzem (str. 322), a zaś wyznawców tejże wiary *poganami* (str. 331 wiersz 14); jestże w tem choć cokolwiek zdrowego rozsądku?

Tsitsikar i Mukden z powodu źle oznaczonej granicy a więcej jeszcze ich czysto mongolskiego zaludnienia, można za mongolskie uważać grody. Mandżurya nie jest krajem (str. 330) lecz prowincyą, brak więc dokładnego określenia wprowadza w błąd czytelnika; wprawdzie niektórzy li tylko ziemię nad amurską tak mianują, ale i to sprzeciwia się duchowi naszego języka. Wyliczając dzieła p. Gerstaeckera położyłem w końcu „i t. d." każdy bez wyjątku zrozumie co ten znak oznacza, t. j. iż oprócz wymienionych dzieł p. Gerstaecker pisał jeszcze i inne. P. Z. zaś w tem prostem skróceniu, usiłuje dopatrzyć nieznajomości mojej belletrystyki niemieckiej. Czyż to słusznie i sprawiedliwie?

Twierdzenie, że skórka sobolowa która się dziś płaci w Syberyi najwyżej 12 rs. za sztukę, może za lat parę nabrać wartości skóry z czarnego lisa od niepamiętnych czasów od 100 do 150 rs. cenionej, i vice versa — jest po prostu dowodem grubej nieznajomości traktowanego przedmiotu.

Co do Afryki nie szło mi bynajmniej o wyliczanie wszystkich szczepów składających ludność tej części świata, chociaż dodanie trzech lub czterech wierszy druku, nie powiększyłoby znowu tak znacznie objętości książki; mówiłem tylko że w takim razie należało miasto wzmianki o niektórych i to mniej znacznych wymienić po prostu dwa pierwotne plemiona: Jelofskie i Semickie, od których wszystkie inne bez wyjątku pochodzą. W mieście Tunis liczącym rzeczywiście do 150 tysięcy mieszkańców znajduje się tylko jakaś część maurytanów, a ci nawet zajmują się po większej części kramarstwem. Rękodzieła bardzo słabo są tam reprezentowane, handel znów znajduje się w ręku żydów całą dzielnicę ($^1/_3$ część miasta) zajmujących. Reszta kraju zaludnioną jest przez koczujących Arabów. Położenie więc owego *sic* jako zarzut mojej nieświadomości rzeczy, wprost do osoby kruszącej kopiję o sławę niemieckich uczonych zastosować wypada. Na dziwnie brzmiący panegiryk o oświacie tunetańskiej, (oprócz elementarnych nie ma tam żadnych innych szkół), trudno inaczej jak uśmiechem politowania odpowiedzieć.

Najważniejszym jednak zarzutem, przed którym powinienbym zdaniem p. Z. zarumienić się jak młoda dziewica, są dwa zamienione przez zecera wyrazy: *wszędzie* na *będzie* i *Australja* na *Oceanja*. P. Zajączkowska, która z taką swobodą i naturalnością składa — jakby to grzecznie określić... niedokładności

dzieła (np. twierdzenie, że Irkuck jest stolicą zachodniej Syberyi) na nieszczęśliwego drukarza — nie raczy nawet przypuścić niedokładności korekty w mej ocenie, i zaprzecza mi z tego powodu znajomości podziału kuli ziemskiej na 5 części z gruppą wysp Oceanji!!! Wprawdzie korekta powinna być prowadzoną o ile możności dokładnie, innej jednakże się wymaga staranności w poprawkach błędów drukarskich przy wydawnictwie peryodycznem którego każdy numer w swoim czasie punktualnie wyjść z pod prasy powinien, a innej znowu w dziele książkowem w jakiem autor lub tłumacz ma nieograniczoną żadnym terminowym pospiechem swobodę do sprostowania pomyłek. Co więc mnie piszącemu na oznaczoną niemal godzinę recenzyę może być darowanem, trudno przebaczyć szanownej oponentce, tym bardziej że błąd mający pretensyę pokryć grubą nieświadomość geografji, nie był pomiędzy licznemi omyłkami w końcu dzieła zamieszczonemi, objętym. Więcej powiem: gdyby nawet zmiana wyrazu *wszędzie* na *będzie* nie miała miejsca, to i w takim razie nie zmiejszyłoby to bynajmniej popełnionego przez autora anachronizmu. Zważcie sami: „W głębi Sumatry żyje lud który morduje i pożera swoich jeńców, ale dzieje się to po zaciętej bitwie i ma na sobie charakter obrządku religijnego, i ja myślę *że tak było wszędzie i zawsze.* Jeżeli pozostanie wyraz *wszędzie*, wypadnie twierdzenie, że na całym świecie ludzie jedzą ludzi, jeżeli zaś zmienimy go na *będzie*, wyniknie że przyszłość Sumatry (lecz tylko jednej Sumatry) jest przez tę plagę zagrożoną. I tak źle, i tak nie dobrze; błąd drukarski zmniejsza nawet doniosłość anomalji: lepiej bowiem ażeby Baktasy pożerali po wieczne czasy swoich jeńców, niż gdyby ludożerstwo rozpowszechniło się *wszędzie* t. j. na całym świecie. Streszczając zdanie autora nie zmieniłem w niczem jego znaczenia; w ocenach moich staram się zawsze być o ile możności zwięzłym, to tłumaczy także zarzut nieprzytaczania całych ustępów z dzieł cudzoziemskich. Nie każdy posiada dar pisania tak rozwlekle jak p. Zajączkowska, i możemy zaręczyć czcigodnej antagonistce naszej, iż tylko zasada nieograniczonej bezstronności, skłoniła nas do zamieszczenia w szpaltach niniejszego pisma tak drobiazgowo długiej, i podobnym stylem skreślonej odpowiedzi.

Oto są wszystkie zarzuty, które p. Z. podjęła się zbijać — o innych, jakie nawet podług przyjętego przez nią systematu nie mogłyby być poruszonemi bez szwanku, najzupełniej przemilczała. Tak bez zaprzeczenia wygodniej. Ja jednak zaczepiony tą jedyną w swoim rodzaju reklamą, ośmielę się zapytać: dla czego chwaląc rozum 9-letniego Józia, który chce z wyspy na wyspę przeskakiwać, dlaczego dowodząc że 12 rublowa skórka sobola więcej może być za parę lat wartą niż 150 rublowa skóra czarnego lisa, obstając za cywilizacyą mieszkańców tunetańskiego państwa, lub wreszcie nazywając budaistów poganami, nie objaśnia ani jednem słowem powodów dla których p. Gerstaecker uczynił Baszkirów mieszkańcami Syberyi, pominął milczeniem tajgi; nie tłumaczy fałszywie oznaczonej odległości miast, np. Krasnojarska od Tomska, wyidealizowania Wiednia na kuli ziemskiej, usunięcia Pekinu z rzędu grodów, a nadewszystko posuniętej aż do komizmu nieświadomości uczonego niemca, który nazwał umundurowane roty wojska *hordami dzikich kozaków*. Gdyby żadnych innych błędów nie było w ocenionem przezemnie dziele, to ten jeden tak jest... *dzikim*, iż wystarczyłby do rzucenia na cały ów niefortunny utwor niekorzystnego światła.

Ktokolwiek zechce odczytać ocenę, która wywołała takie gromy oburzenia ze strony szanownej p. Z., przekona się iż takowa napisaną została z wszelką możliwą względnością płci pięknej przynależną. Oddaję w niej zasłużone pochwały zaletom powierzchownym, barwności słowa — grube zaś błędy jakie wytykam, kładę więcej na karb autora aniżeli tłumacza. P. Z. krusząc z takim ferworem kopiją o sławę pisarską niemieckich potentatów, na dobicie śmiałka, który się poważył zganić przepolszczoną przez nią książkę, stawia moje skromne nazwisko obok imienia o głośnej choć niezasłużonej sławie pisarza, i woła ze zgrozą: „Pan Ludwik Niemojowski lituje się nad nieświadomością p. Fryderyka Gerstaeckera! czyż wolno panu Niemojowskiemu robić zarzuty panu Gerstaeckerowi?" Ów straszny głos oburzenia, owe porównawcze zestawienie, mające niby malować zdrobniałość nędznej istoty porywającej się na tytana, a zakończenie dla większego efektu wykrzyknikiem i znakiem zapytania, nie ma żadnej racyi bytu, albowiem i maluczkiemu nawet wolno krytykować wielkiego człowieka, gdy krytyka jego ma za sobą słuszność i sprawiedliwość, a że tak jest dowiodłem faktami. Nadto jakkolwiek drobny i małoznaczny pracownik na literackiem polu, i czujący się niczem w obliczu potężnych doniosłością dział Kruppa i erudycyą niemców, którzy takie uwielbienie wzbudzają w szanownej oponentce, pracuję oddawną już dla młodocianego pokolenia, obeznałem się z potrzebami, sposobem wykładu i przyjęciem kierunku w tego rodzaju piśmiennictwie; zaglądam często do dzieł traktujących o zoologji, geografji, nie ufając zbytecznie, jak to robią wielcy ludzie, swej pamięci — pan Gerstaecker zaś, który podróżował po Ameryce, Australji a nieznający jak się pokazuje Azyi i Afryki, kreśląc dzieło pedagogiczne wziął się do obcego mu zupełnie przedmiotu, i popadł w niepodobne do uniewinnienia błędy. Mogę więc pod tym przynajmniej względem zajrzyć śmiało w oczy olbrzymowi, bez ściągnięcia na siebie zarzutu zarozumiałości.

dnia 16 Maja 1876 r.

Ludwik Niemojowski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorce wiersza Dar świata, zwracamy uwagę że rymy: *tysiące i wrzący* oraz *męty i święte* są złe i nigdy podobnych nie należy używać; drugi wierszyk wolny jest od tego błędu, ma pewne zalety ale ogólnie brak w nim prawdziwie poetycznej podniosłości.

Mąż z Wareckiej ulicy obdarzył nas listem następującym:

Panie Redaktorze!

Ośmielony wielce pochlebną odpowiedzią na moje pisanie, poważam się udać do Szanownego Pana jeszcze raz z malutką prośbeczką następującej treści:

Projektowano tam już nie pomnę w której gazecie, aby ze względu zachowania czystości powietrza w ogrodzie Saskim, wzbroniony był wstęp osobom z długiemi powłokami czyli ogonami. Projekt ten nie przypadł mi do smaku, bo dla czegóżby tylko ogród Saski miał mieć podobne przywileje? Wreszcie, byłoby to nietylko niegrzecznością w obec tej płci, której hołdować przywykliśmy, lecz co najważniejsza, byłoby to brutalne ścieśnienie wolności osobistej — a wreszcie, ogród by się zupełnie wyludnił, a cóżby wart był wtedy, bez owych żywych kwiatów tak zawsze dla nas ponętnych. Jednem słowem, przyznasz Panie Redaktorze, że środek to bardzo niefortunny — lecz temu wszystkiemu tylko Ty mógłbyś drogą pokojową zaradzić, jeżeli dać raczysz łaskawe ucho memu własnemu *wynalazkowi!* a któren poważam się zakomunikować do Twego Panie uznania. Oto nic więcej, chciej poprosić rysownika, aby w owej przedłużonej części zwanej ogonem, nie kopijował tak sumiennie z mód paryzkich. Co Ci to szkodzi, niech ją przytnie aby ziemi nie dotykała; dalej, owe turniury niech zwęzi i robi mniej wypukłemi, bo na co Tygodnik ma być wspólnikiem i doradzcą tego rodzaju malwersacyi. Wówczas, wszyscy z różnych ulic mężowie wielbić cię będziemy, pominąwszy bowiem już znacznie zmniejszone koszta na materyał, w następstwie, na wszystkich ulicach, placach i ogrodach nieznośnego kurzu połykać przestaniemy. Zrób to drogi Panie a jak mi Bóg miły tajemnicę do grobu zaniosę.

Mąż z ulicy Wareckiej.

Obietnica tajemnicy jest wielce zachęcającą: korzyść z osiągniętego przez nią skutku zbyt widoczna byśmy ją lekceważyć mieli, ale ołówek rysownika nic tutaj nie pomoże. Tygodnik otoczony jest licznem sąsiedztwem różnych żurnali, żurnalików i modenweltów, zbierających skrzętnie wszystkie nowości ubrania, a wszystko to ruchliwe, gadatliwe i lubiące niezmiernie ploteczki. Język trudno przyciąć nożyczkami jak fałdy sukni powłóczystej, nużby więc który przez sąsiedzką życzliwość, z jękiem boleści zwierzył się w sekrecie z wypatrzonego szalbierstwa spółki redaktora z rysownikiem, wnetby rzecz cała stała się jawną, sprawców jej wytykanoby palcami a Tygodnik ukamienowano.

Ale na każdy sposób jest sposób. Czego przebojem lub podstępem spełnić nie można, tego bardzo często dokonywa serdecznie wyrzeczona prośba. Niech więc proszą mężowie żon a bracia siostr aby powłóczystych sukien używały jedynie w salonie, na przechadzki zaś w miejsca publiczne i do ogrodu, niech występują w krótszych ubraniach utrzymujących pył uliczny i ogrodowy w tak upragnionym spokoju. Wymaga tego wspólne wszystkich zdrowie a szczególniej młodej dziatwy, jako dopiero rosnącej, która nie rozwinie się ani zdrowo ani należycie, jeżeli wdychać w siebie będzie prawie rok cały zabójczy kurz z nieznośnem warszawskiem powietrzem połączony. Jeżeli nie mamy litości nad sobą, miejmyż ją nad młodem pokoleniem i nie skazujmy go na wszczepianie zabójczego jadu od pierwszego zaraz oddechu z jakim świat wita i jego dolegliwości. Warszawa i tak jest prawie najniezdrowszem miastem w świecie, brakowało jej tylko jeszcze kurzu coby potrafił się wcisnąć w najszczelniej zamknięte miejsca, i ten sami rozwiewamy nad nią w nieprzeniknionych tumanach.

Jeżeli w podobnym sposobie zaniesiona prośba przez Szanownego korespondenta do Małżonki przyjętą łaskawie zostanie, prosimy o doniesienie. Przykład dobry wiele znaczy.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Апрѣля (9 Мая) 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 20.

(dalszy ciąg).

Model odrobiony był z granatowego repsu; drobne plisowanie przy staniku i tunice, trzyma 6, a przy spódnicy 10 cent. szer. Szafirowa aksamitna kieszonka, zawieszona jest na jedwabnym sznurze.

N. 28. Ubranie dla małego chłopczyka. Krój jak do ryc. 1 w Nr 19 Tygodnika mód.

Do ubrania z jasno popielatego Buckskingu, kraje się bluzkę podług wyż. wzmiankowanej formy, dodając od każdej połowy pleców po 4 cent. na fałdy. Kołnierz marynarski z przodu zaokrąglony, ma z tyłu 30 cent. szerokości a 13 wysokości; mankiety trzymają przy zwierzchnim szwie rękawa 7, przy spodnim $4\frac{1}{2}$ cent. Na piersiach od spodu podszywa się kieszonkę 9 cent. wysoką a $7\frac{3}{4}$ szeroką, do której zwierzchnie przecięcie, przykrywa patka widoczna na ryc. 22 w Nr 21 Tygodnika, przedstawiającej p rzód bluzki. Naszycie z 1wązkiej popielatej pletn , zdobi bluzkę i doł krótkich majtek, które z przodu przyszyte są do stanika z szyrtyngu, a z tyłu wszyte w pasek zapięty na guziki.

N. 29. Szkocka słomkowa czapeczka dla chłopczyka.

Czarna słomkowa czapeczka, ubrana jest wstążką czarną repsową, 3 cent. szeroką. Kokarda z boku ozdobiona przepięciem z oksydowanego srebra.

N. 30—31. Stanik pod szyję z baskiną i fałdowanem przepasaniem z przodu. Krój jak do ryc. 39 w Nr 19 Tygodnika mód.

Model sukni z fałdowanem przepasaniem z przodu, a zręcznie ułożoną baskiną z tyłu, odrobiony był z materyi Faille. Baskina z boków dosć krótka, z przodu znacznie przedłużona u dołu przy szwie pleców rozpruta jest aż do wcięcia stanu, a w środku do 11 cent. długości. Boczne części pleców, trzeba od wcięcia w stanie skośnie do dołu rozszerzyć z zewnętrznego brzegu, ażeby można było ułożyć tył baskiny, w sposób na ryc. 31 wskazany. Podwójne wypustki z grubym sznurem, służą do objęcia baskiny, która tylko z przodu i boków oszyta jest szeroką siatkową frendzlą. Z tyłu nad środkowem przecięciem, dodana jest kokarda z materyi. Przepasanie dodane z przodu, układa się na gładkiej podszewce z materyi, z czterech oddzielnych skośnych plis, $4\frac{3}{4}$ cent. szerokich, które przy wszyciu pomiędzy boczne szwy przodów, ma 13 cent. szerokości, a z przodu zwężone jest do 9 cent. i spięte kokardą. Mankiety przy rękawkach na ryc. 30 są także plisaml ozdobione. Na ryc. 31, mankiety z wierzchu skośnie zeszyte, ozdobione są guzikami i oszyte falbanką. Mały wykładany kołnierzyk objęty jest podwójną wypustką ze sznurem.



N. 1—2. Berta chusteczkowa z krepowanego materyału zwanego Rubberiz koronki. N. 3. Krawatka szalowa z tkaniny kanwowej N. 4. Wachlarz spacerowy. N. 5. Szpilka z motylem.

Opis do N. 21.

N. 1—2. Berta chusteczkowa z krepowanego materyału zwanego Rubber i z koronki.

Chusteczka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 1—2, dobrze ubiera osoby młode i wysmukłe; odrobić ją można z prostego kawałka gazy kolorowej, crêpe de chine, tiulu białego, czarnego, lub crème, oszytego koronką 4 do 5 cent. szeroką, mającego 236 cent. długości a 15 szerokości, w końcach zaokrąglonego. i w koło obrąbionego. Model chusteczki odrobiony był z jasno błękitnego, krepowanego materyału zwanego Rubber oszytego koronką kolrou crème, któren na środku z przodu zeszywa się w ząb, zakłada parę faldek, wywija brzeg górny w sposób na ryc. 1 wskazany, i przypina do sukni bukietem lub kokardą. Z tyłu końce powinny być w lekki węzeł przerzucone i ułożone podług ryc. 2.

N. 3. Szalik z tkaniny kanwowej.

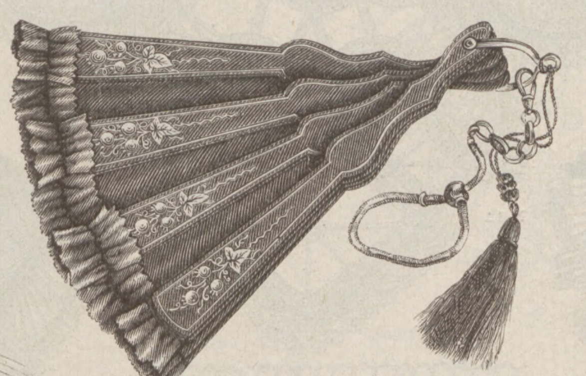
Ryc. 3 przedstawia modny szalik kanwowy zarówno używany w miejsce krawatki jak i do ubrania kapelusza.

N. 4. Wachlarz spacerowy.

Na długiej lasce oprawny, okrągły spacerowy wachlarz z czarnego jedwabnego repsu, oszyty koronką créme.



N. 7. Kapelusz z plisowanem podgarnirowaniem. Tył kapelusza na ryc. 13.



N. 6. Wachlarz zawieszony u bransoletki.

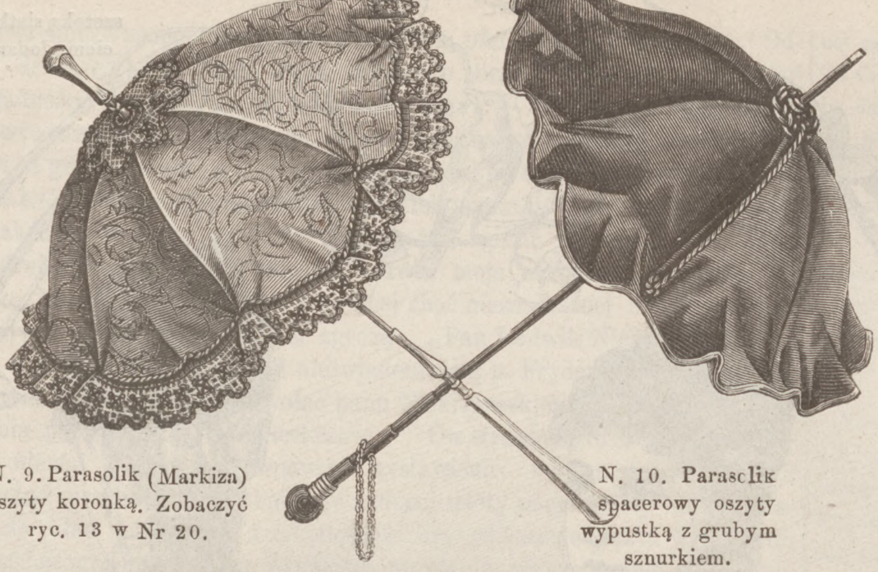


N. 8. Kapelusz z wieńcem z kwiatów.

N. 5. Motyl do kapelusza lub do włosów z mieniącej się w różne kolory perłowej konchy.

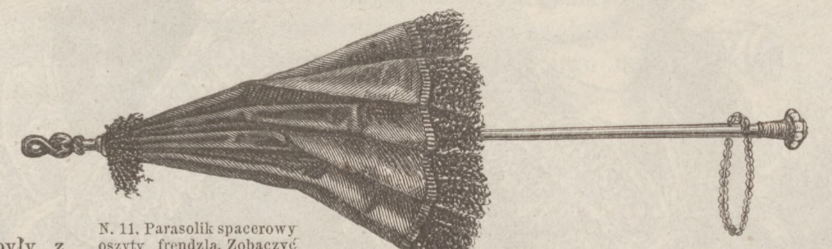
N. 6. Wachlarz zawieszony u bransoletki.

Nowym, bardzo dogodnym wynalazkiem, jest bransoletka z łańcuszkiem, służąca do zaczepienia wachlarza urządzona w ten sposób, iż przy przesuwaniu się rozciąga, a następnie ścieśnia podług ręki. Model wachlarza był oklejony ponsowym atłasem i ponsową juchtową skórą, ze złotemi wyciskami, a brzeg oszyty riuszą ze wstążki. Bransoletka zaś i łańcuszek odrobione były z nowej kompozycyi metalu.



N. 9. Parasolik (Markiza) oszyty koronką. Zobaczyć ryc. 13 w Nr 20.

N. 10. Parasolik spacerowy oszyty wypustką z grubym sznurkiem.



N. 11. Parasolik spacerowy oszyty frendzlą. Zobaczyć także frendzle na ryc. 15—16 w Nr 18 Tygodnika.

N. 7 i 13. Kapelusz z plisowanem podgarnirowaniem.

Szerokie rondo białego słomkowego kapelusika, w części w górę podwiniętej podszyte jest ciemno szafirowym aksamitem, a dalej repsem koloru créme. W fałdy ułożone, 6 cent. szerokie plisowanie z białej *crepe lise* stanowi podpięcie z przodu.

Zwierzchu kapelusz przybrany jest kokardami i szarfami ze wstążki *Serge*, koloru créme, $9_{4}/_{4}$ centymetra szerokiej, oraz sutym wieńcem z bławatków, i ciemno szafirowych baldaszków, z gałązkami długo spuszczonemi. Ryc. 13 przedstawia taki sam kapelusz z tyłu.



N. 13. Kapelusz z plisowanem podgarnirowaniem. Przód na rycinie 7.

N. 8. Kapelusz z wieńcem z kwiatów.

Biały słomkowy kapelusz, zwierzchu suto przystrojony jest kwiatami, a od spodu rondka wkoło podgarnirowany koronką, trochę wystającą z brzegu; nad czołem zaś podpięty djademem ze wstążki.

N. 9—11 i N. 13 w N. 20 Tygodnika mód. Najświeższe parasolki.

W Nr 18 Tygodnika, podaliśmy parasolik *en tout cas* dziś przedstawiamy trzy ozdobne, spacerowe parasoliki, zwane markizami, przy których laski mają 74 cent., a pręciki 30 cent. długości. Kształt otwartego parasolika jest mocno wypukły; najwięcej używany kolor materyi czarnej i créme. Piękność parasolików zależy obecnie głównie na ozdobnej koronce i lasce; łańcuszki jeszcze są przy nich używane, modniejsze jednak są sznurki i kwasty jedwabne W miejsce gumowych sznureczków, służą do zamknięcia parasolika obrączki szmuklerskie i gruby sznur jedwabny, tego co parasolik koloru sznur przyszyty w sposób na ryc. 10 wskazany, niedozwala obrączce spadać.

N. 9 i N. 13 w N. 20 Tygodnika. Parasolik oszyty siatkową koronką.

Parasolik pokryty materyją koloru créme, gładką albo w deseń adamaszkowy, oszyty jest siatką gipiurową. mającą tło créme a wyszycie, dzierganie i kratki odrobione kordonkiem lub jedwabiem rubinowym. Gruby sznur przykrywający naszycie koronki skręcony jest z obydwóch kolorów; delikatnie wyrobiona rączka z białego drzewa, wydaje się być ze słoniowej kości.

N. 10. Parasolik oszyty wypustką z grubym sznurkiem.

Przy parasoliku czarnym repsowym z białą podszewką dodana jest wypustka z grubym sznurkiem, z materyi koloru *cardinal*; sznureczek do zapinania jest z jedwabiu czarnego i cardinal. Laska czarna polituro wana z gałką cardinal, łańcuszek i obrączka przy gałce ze srebra oksydowanego.



N. 14. Kapelusz dla niedorosłej panienki. Przód na ryc. 35.

N. 11. Parasolik z krepowaną frendzlą.

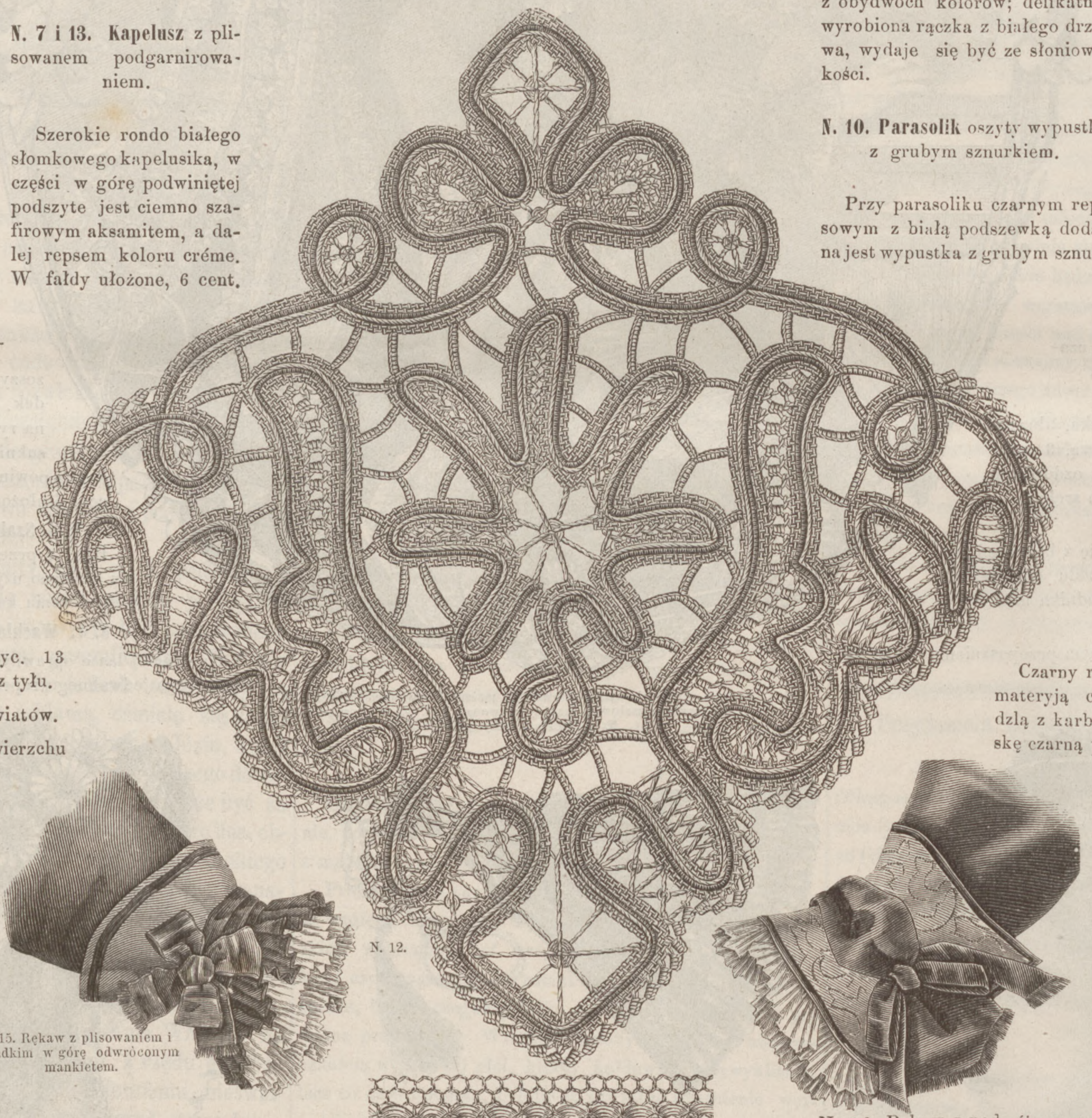
Czarny repsowy parasolik, podszyty materyją crème, oszyty szeroką frendzlą z karbowanej wstążeczki, ma laskę czarną polituro waną z gałką i łańcuszkiem ze srebra oksydowanego.

N. 12. Kwadrat. Robota koronkowa z jedwabnej wstążeczki sznurka złotego i gipiurowego.

Model kwadratu pochodził z Wiednia, gdzie także wyrabiana jest gęsta wstążeczka biała, oraz sznureczek kolorowy, gipiurowy.

Cienki biały jedwab służy do kratek i dzierganych słupków w tle, grubszy do koronkowego dziergania, brzegu kwadratu.

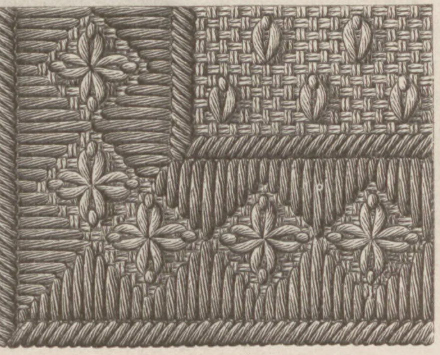
Zupełną nowością są podobne kwadraty, naszyte purpurowym gipiurowym i złotym



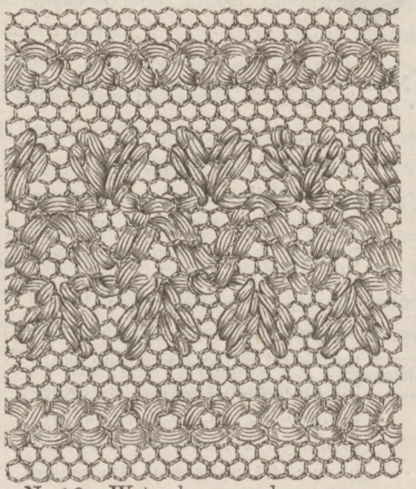
N. 12.

N. 15. Rękaw z plisowaniem i gładkim w górę odwróconym mankietem.

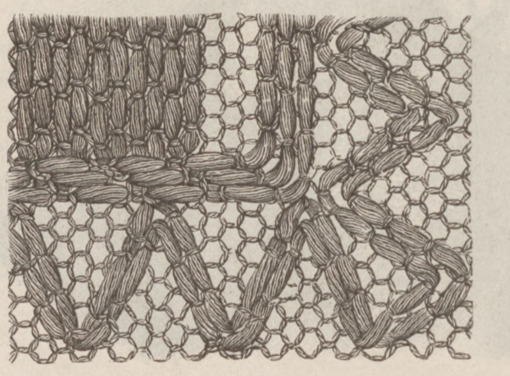
N. 16. Rękaw z podwójnym mankietem, przybranym wstążką.



N. 17. Wyszycie długiemi ściegami na kanwie Jawa, do teczki ryc. 17—18 w Nr 20.



N. 18. Wstawka wywodzona na tiulu do ryc. 30.



N. 19. Szlak do ryc. 30. Wywodzenie na tiulu.

N. 12. Kwadrat. Robota koronkowa z jedwabnej wstążeczki i sznurka złotego i gipiurowego.

sznureczkiem, które układają się ściśle jeden przy drugim, na środku wstążeczki, i przyszywają do niej jedwabiami cienkiemi odpowiednich kolorów, ściegami o ile można niewidzialnemi. Stanowić one mogą okazałe pokrycie do parasolek, końce do krawatek i t. p.

N. 14 i 35. Kapelusz dla niedorosłej panienki. Przód na ryc. 35.

Na 3 cent. szerokości w koło w górę wywinięte rondo małego słomkowego kapelusza, podszywa się czarnym aksamitem; niebieska 7 cent. szeroka wstążka i pierwiosnki różowe służą do



N. 23. Kokarda ze wstążki i kwiatów.

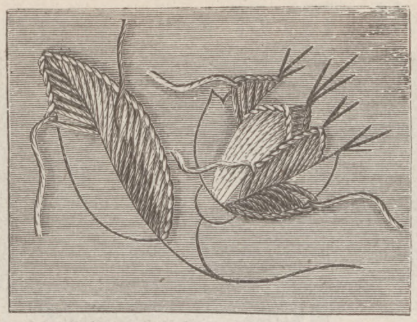
ubrania kapelusza, w sposób na ryc. 14 wskazany. Końce z tyłu spuszczone, mają 48 i 60 cent. długości.

N. 15—16. Dwa rękawy do sukien.

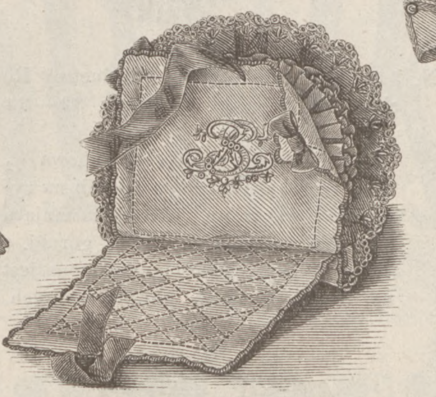
Rękawy których przybranie dokładnie wskazane jest na ryc. 15—16, mogą być zarówno odrobione z materyału w dwóch cieniach, albo z gładkiego i w deseń, lub z dwóch



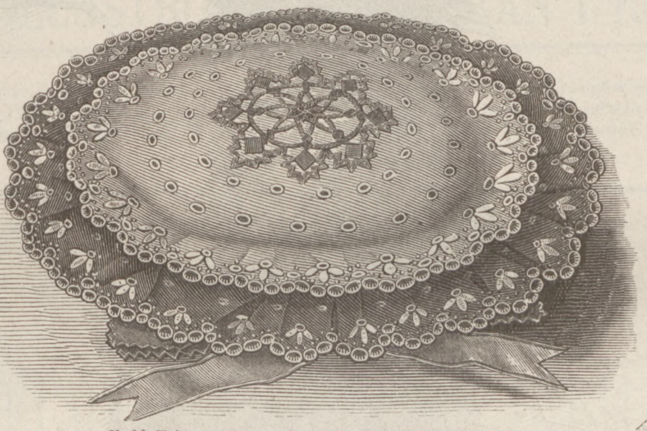
N. 21. Sukienka z kirasowym stanikiem dla dziewczynki. Forma stanika jak do ryc. 33 w Nr 10 Tygodnika.



N. 20. Próbka roboty do pantofla. Ryc. 12 w Nr 20.



N. 25. Teka na chustki od nosa, z poduszeczką do szpilek. Zobaczyć tekę zamkniętą na ryc. 26.



N. 26. Teka z poduszeczką do szpilek, na chustki od nosa. Haft angielski i atłaskowy. Zobaczyć ryc. 3 w Nr 20 i ryc. 27 i 28.



N. 22. Bluza i majtki dla chłopczyka. Opis przy ryc. 28 w Nr 20.



N. 24. Kokarda z materyi.

rodzajów materyału, np. wełnianego z jedwabnym, lub jedwabnego z aksamitem.

N. 17. Wyszycie długiemi ściegami na kanwie Jawa, do ryc. 17—18 w Nr 20 Tygodnika.

N. 18—19. Wstawka i szlak wyszyte na tiulu, do ryciny 30.

N. 20. Próbka roboty do ryc. 12 w Nr 20.

N. 21. Sukienka z kirasowym stanikiem, dla małej dziewczynki. Forma stanika jak do ryc. 33 w Nr 10 Tygodnika.

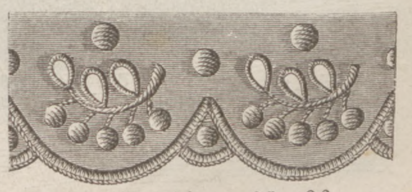
Spódniczka orzechowej beżowej sukienki, ma z przodu 55, z tyłu 56 cent. długości, u dołu 200, w górze 108 cent. obwodu, a składa się ze skośnie ściętego przodu, dwóch klinów i jednego prostego bryta w tyle. Kirasowy





N. 27. Szlaczek do teki ryc. 25—26.

N. 29. Szlak do chustki do nosa. Imitacya prawdziwej koronki. Haft sznureczkowy na podwójnym tiulu.

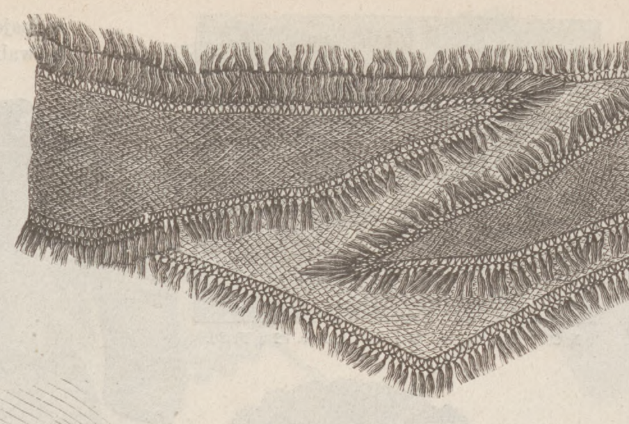


N. 28. Szlaczek do teki ryc. 25—26.



N. 30. Szalikowa chusteczka. Wywodzenie na tiulu i koronka. Zobaczyć próbki wywodzenia ryc. 18—19.

z tyłu sznurowany stanik, ma od wcięcia w pasie do dołu 14 cent. długości z przodu i z tyłu, a 10 cent. z boków. Mankiety przy rękawach są 11 cent. wysokie. Plisowania przy spódnicy 8 cent., przy staniku 5, a przy kieszonce i mankietach $3^1/_2$—4 cent. szerokie. Do przystrojenia



N. 31. Chusteczka „Marie Antoinette" Robota siatkowa. Zobaczyć także ryc. 32—34.

sukienki służy pletnia orzechowa $^1/_2$ cent. szeroka, naszyta w sposób na rycinie 14 wskazany. Kieszonka mająca 12 cent. wysokości, $12^1/_2$ górnej, a $14^1/_2$ dolnej szerokości, zawieszona jest na dwóch paskach pletnią oszytych,



N. 32. Chusteczka „Marie—Antoinette" robota siatkowa. Zobaczyć chusteczkę z tyłu na ryc. 33.



N. 35. Kapelusz i kaftanik dla niedorosłej panienki. Krój kaftanika jak do ryc. 7 w Nr 19. Kapelusz z tyłu zobaczyć na ryc. 14.

z boków przy kieszonce w płaskie, jeden na drugi zachodzące pukle ułożonych, a końcami do stanika od spodu przyczepionych.

N. 22. Ubranie dla chłopczyka. Opis przy ryc. 28 w Nr 20.

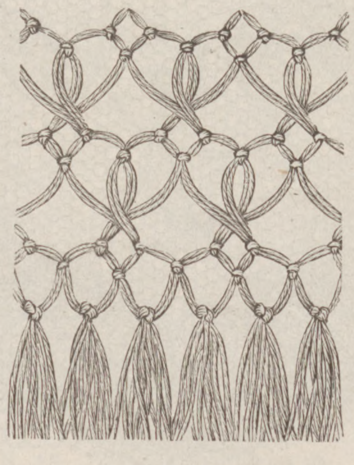
N. 23. Kokarda ze wstążki i kwiatów.

Kokarda z jasno niebieskiej, 8 cent. szerokiej wstążki, składa się z 6, 5—8 cent. długich, zręcznie ułożonych pukli i z dwóch końcy 28 i 16 cent. długich. Z boku przypina się do niej bukiecik z nawpół rozwitych róż białych, rezedy, i liści ze złotawo-orzechowym odcieniem.

(dok. nast.)



N. 33. Chusteczka siatkowa. Zobaczyć przód na ryc. 32 oraz ryc. 31 i 34.



N. 34. Siatka w deseń z oczkami krzyżowanemi.



N. 36. Suknia z muślinu albo linon, z vêtement formą princess. Tył sukni na ryc. 20 w Nr 20 Tygodnika.